



Dziś w numerze: ● Jutro – Koluszkowski, pojutrze – może Książka ● Nr 32.330
● Wspomnienia o Błoku ● O literaturze belgijskiej ● Reymont w Łodzi
● A propos „Nocy” ● Kopciuszek prowadzi do Nepalu
● Recenzje ● Felietony

odgłosy



Nr 19 (433)
14. V. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



STUDENT — istota nieznana

Pragnąc zapoznać się bliżej z zainteresowaniami kulturalnymi studentów, redakcja nasza poddała badaniom ankietowym młodzież zamieszkuje 5 domów studenckich przy ul. Lumumby. Otrzymałyśmy łącznie 317 ankiet, w tym: 135 od osób studiujących na Uniwersytecie Łódzkim (80 — kobiety, 55 — mężczyźni), 91 — od studentów Akademii Medycznej (37 — kobiety, 54 — mężczyźni) i 91 — od studentek Politechniki Łódzkiej (same kobiety). Zanim pokusimy się o wyciągnięcie wniosków z niezmiernie interesującego materiału, jakiego dostarczają ankietę, pragniemy zapoznać Czytelników z danymi jakościowymi i ilościowymi uzyskanymi w naszej akcji oraz z autentycznymi wypowiedziami studentów w zakresie niektórych problemów. Temu poświęcamy właśnie cykl publikacji pod nazwą „Student — istota nieznana”, który otwieramy antologią wypowiedzi dotyczących STOSUNKU STUDENTÓW DO NOWOCZESNOŚCI W SZTUCE. Na początek — kilka liczb. Na pytanie: — jaki jest Pana(i) stosunek do nowoczesności w sztuce? — 152 osoby nie udzieliły żadnej odpowiedzi. 23 osoby oświadczyły wręcz „nie rozumiem sztuki nowoczesnej”, 33 osoby stwierdziły lakonicznie „negatywny”, i 33 — „pozytywny”. Pragniemy się zastrzec, że w dokonywaniu wyboru wypowiedzi przeznaczonych do druku unikaliśmy jakiegokolwiek tendencyjności, dbając o to, by wszelkie postawy reprezentowane były w naszej antologii, z zachowaniem proporcji ilościowych. Styl wypowiedzi pozostawiliśmy bez zmian. Usunęliśmy tylko liczne — niestety! — błędy ortograficzne.

Objaśnienie skrótów: UL — Uniwersytet Łódzki, PL — Politechnika Łódzka, AM — Akademia Medyczna, PWSSP — Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, K — kobieta, M — mężczyzna. Cyfra w nawiasie oznacza rok studiów.

Nowoczesność w sztuce jest nieunikniona. Tak jak jest nieunikniony postęp i rozwój naszej cywilizacji. Można odnosić się do tego pozytywnie czy krytycznie, lecz jednocześnie trzeba to przyjąć do wiadomości. UL — M, Socjologia (IV)

Każda dziedzina nauki i sztuki ciągle się rozwija, poszukuje nowych form wypowiedzenia się. Takie właśnie poszukiwanie nowych form wypowiedzenia się jest niczym innym jak rozwojem ludzkiej kultury. Nowoczesne malarstwo, muzyka, etc. są piękne, ale dla tych ludzi, którzy potrafią je zrozumieć, i potrafią wczuć się w inspirację autora danego dzieła. Dla wielu ludzi nowoczesna sztuka jest dziwna, czasami szokująca. Opinia publiczna jest z zasady konserwatywna i nic na to nie można poradzić. Po prostu trzeba czekać, usiłować iść z postępem, ale chyba istota sztuki naszej epoki zostanie dopiero doceniona w epoce następnej.

UL — K, Filologia (III)

Dalszy ciąg na str. 4

JAN KOPROWSKI

Na ladzie i pod lada

W fakcie, że pewne książki sprzedawane są „spod lada”, należy widzieć zarówno coś bardzo dodatniego, jak i ujemnego. Oto, nareszcie, książka stała się artykułem poszukiwanym, za którym ludzie gonią od księgarni do księgarni jak za najmodniejszym „ciuchem”. Historia księgarstwa, przynajmniej w Polsce, nie zanotowała dotychczas zjawiska podobnych rozmiarów. Jest ono charakterystyczne dla naszych powojennych czasów, a osobliwie dla ostatnich lat kilkunastu. Dowodzi to jednocześnie, że nakłady książek są za niskie, co z kolei ujawnia braki papierowe, przewlekły proces produkcji książki itp.

Może to, co powiem, zabrzmi paradoksalnie, ale mnie się wydaje, że nie jest źle, gdy ludzie szukają książek. Bo fakt ten oznacza, że książka zyskała na wartości, że stała się artykułem pierwszej potrzeby. Pisarze, księgarze, bibliotekarze, słowem: ci wszyscy, którzy tworzą i upowszechniają literaturę, wyzyli się chyba kompleksów, wynikających z poczucia, że działają na peryferiach kultury. Prawda, że twórczość kulturalna w oczach niektórych działaczy uchodzi ciągle jeszcze za „piąte koło u wozu”. Prawda, że pokutuje jeszcze niekiedy niedzielny, okolicznościowy stosunek do książki. Widać to zwłaszcza w dniach majowych, kiedy te i owe instytucje przypominają sobie nagle, że coś trzeba zrobić i prześcigają się w dążeniu do „odfajkowania” niezbędnych w tym czasie imprez. Tak, wszystko to prawda. Nie da się jednakże zaprzeczyć, że sytuacja poprawia się z roku na rok.

Gdyby mnie ktoś zapytał, jakie zdarzenie utrwaliło się najwyżej w mej pamięci, odpowiedziałbym: kolejka po książkę. Widziałem takie kolejki w Łodzi i w innych miastach. Nie mam tu na myśli długich ogonków po podręczniki szkolne, ale właśnie oczekiwanie na powieść, zbiór esejów, pamiętnik, czy (nawet!) na tom wierszy wybitnego poety. Kiedy o „Pamiętnikach” generała de Gaulle'a powiedziałem, że idą jak woda, mój znajomy, zagorzały miłośnik książek i czytelnicstwa, oburzył się. Jak woda? Jak dwie wody, proszę pana. Powie ktoś: wiadomo, pamiętniki de Gaulle'a każdy kupi, ale inne rzeczy! Otóż właśnie i inne rzeczy „idą jak dwie wody”. Pawła Jasienicy „Rzeczpospolita obojga narodów” wykupiona została natychmiast, a przecież nie jest to bynajmniej lektura łatwa. A „Miasta polskie”, dwa tomy, w sumie 360 złotych! Nakład rozszedł się natychmiast i poszłoby jeszcze drugie tyle. Więc nie jest prawdą, że ludzie szukają łatwych rozrywkowych lektur. Oczywiście, szukają i takich. „le trzeba powiedzieć, że każda dobra wartościowa książka znajduje coraz więcej nabywców. Seria „Nike”, w której ukazują się wybitne utwory polskich i obcych pisarzy, cieszy się od lat nieustajającym powodzeniem. Znam ludzi, którzy kolekcjonują wydawnictwa tej serii, a jeśli przegapia jakąś nowość, szukają jej potem antykwarycznie. Nie mówię tu, naturalnie, o Sienkiewiczach, na którego istnieje ciągle zapotrzebowanie. Gdy wydano po raz pierwszy tam z rządu „Trylogię” oraz „W pustyni i w puszczy” z pięknymi ilustracjami J. M. Szancera — nakład rozszedł się w ciągu kilku dni. Dowcipnie stwierdza, że Szancer pomógł Sienkiewiczowi. A ja wam mówię, że gdyby się nawet rzeczy Sienkiewicza ukazywały na papierze gazetowym, wykupione by je bez reszty, bo to jest pisarz areydzialny, stylista znakomity, znawca historii, człowiek, który wiedział jakiej potrzeba ludziom lektury.

Obchodzimy w tym roku setną rocznicę urodzin Reymonta. Ale jakoś nie widać na rynku nowych wydań jego utworów. Zapowiedziane powieści: „Chłopi” i „Ziemia obiecana” chyba nie zdążyła na majowe Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wielka szkoda. Zainteresowanie dziełami Reymonta wzrasta, wszystko wskazuje na to, że Reymontowska rocznica zapoczątkuje renesans tego pisarza. Bedziemy więc poszukiwali jego książek w księgarniach i antykwariatach. I to jest dobre. W każdym razie lepsze od sytuacji, w której by książki jego leżały na półkach i nie miały nabywców. W tym właśnie widzę najistotniejszą przemianę: ludzie się rozczuli, ludzie kupują książki, szukają ich, książka staje się coraz bardziej chlebem powszednim naszego życia.



Jeden ze znanych psychologów amerykańskich orzekł niedawno, że mechanizm eskalacyjny wojny w Wietnamie działa w następujący sposób: najpierw rozpoczyna się w St. Zjednoczonych pogłoski o konieczności wysokiego zwiększenia liczebności wojsk interwencyjnych, potem oficjalny przedstawiciel administracji zaprzecza tej wysokości, co społeczeństwo przyjmuje z ulgą, a następnie podnosi się kontyngent, zaledwie nieco później wymienianego w pogłoskach poziomu. W ten sposób opinia amerykańska podobno mniej boleśnie przeżywa szczeble eskalacji.

Przypominam to w związku z wypowiedzią dowódcy wojsk Stanów Zjednoczonych w Wietnamie — gen. Westmorelanda i jego żądaniem zwiększenia sił wojskowych. Padła wtedy liczba 600 tys. żołnierzy, a teraz prasa amerykańska pisze, że skądże nie tyle, ale do 550 tysięcy to Johnson może podnieść liczebność wojsk amerykańskich. Tak czy inaczej — w dalszym ciągu kierunek na rozszerzenie agresji.

Świadczą zresztą o tym i inne decyzje — bombardowania gęsto zaludnionych rejonów Hajfongu, czy też atakowanie lotnisk w obrębie Hanoi.

Wreszcie dodać do tego trzeba, że podczas kiedy Front Wyzwolenia Narodowego proponuje 48-godzinny rozejm z okazji rocznicy urodzin Buddy (23 maja) — to strona przeciwna zgadza się tylko na 24-godzinny.

Ta stawka na wzmaganie presji militarnej niepokoi coraz poważniej nawet bliskich sojuszników Stanów Zjednoczonych. I choć lekceważą one głosy przestrogi — prawda jest przecież taka, że ich izolacja polityczna i moralna pogłębia się dosłownie z każdym dniem.

Zmienia się także sytuacja w samych Stanach Zjednoczonych. Po demonstracjach przeciwko wojnie, których rozmiary zaniepokoiły waszyngtońskich polityków, mają teraz z pewnością nowe powody do głębokiej zadumy. Jak bowiem oświadczył na łamach „Christian Science Monitor” dyrektor amerykańskiego instytutu badania opinii publicznej — George Gallup, ostatnio wśród ankietowanych gwałtownie wzrosła liczba osób, sprzeciwiających się interwencji. Jego zdaniem — obecna sytuacja można porównać tylko do krytycznego momentu w wojnie koreańskiej. Sądzę, że choć Gallup nie operował żadnymi liczbami i tak jego wypowiedź bardzo nie jest na ręce Waszyngtonowi, gdyż ujawnia narastanie opozycji wobec wojny. Jak widać chętnie powtarzane słowa (ostatnio przez Ruską) o rzekomej gotowości udania się gdziekolwiek dla podjęcia rokowań w kwestii wietnamskiej — nie są już w stanie zamaskować rzeczywistych zamierzeń Waszyngtonu.

Prócz problemu wietnamskiego w ostatnich dniach wiele komentarzy wywołuje w świecie zapowiedziane przez Wilsona ponowne zabieganie W. Brytanii o przyjęcie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. A może ściślej — nie tyle gotowość W. Brytanii przystąpienia do wspólnego rynku, ile — co na to powie główny oponent sprzed kilku lat: Francja. Dotychczasowe wypowiedzi ze strony Paryża są mgliste i utrudniające. Rozszyfrowanie obecnego stanowiska. Natomiast Bonn wciąż żywi nadzieję, że de Gaulle tym razem da się przekonać i powstanie wielki rynek zachodnioeuropejski. Zapewnie pewni tego nie jesteśmy, ale wyjaśnienie sprawy pozostawmy czasowi. Zanotujmy więc tylko, że wkrótce zbiera się w Rzymie konferencja na szczycie 6 krajów — członków EWG, na którą wybiera się sam de Gaulle. Prawdopodobnie tam odkryte zostaną karty.

W kalendarium prezydenta Francji widnieją jeszcze dwie inne interesujące daty: 16 bm. konferencja prasowa oraz w pierwszych dniach czerwca wizyta w Polsce. Z powodu tej ostatniej bardzo się martwią politycy bońscy. Szczególnie zdenerwowała ich wiadomość podana przez kilka zachodnich gazet, że w czasie tej wizyty de Gaulle przebywać będzie także w jednym z miast na terenie odzyskanym przez Polskę po wojnie. Sądzę, że owo zdenerwowanie jest najlepszym komentarzem do tzw. nowej polityki wschodniej.

Zresztą, co warta jest ta polityka, powiedział wprost kanclerz Kiesinger na kongresie „wschodniemieckich przedstawicielstw krajowych”. Pozwól sobie zacytować:

„Nie możemy zamykać oczu na fakt, że również niektórzy politycy zachodniego świata są zdania, iż rezygnacja z niemieckich terenów wschodnich jest ceną, którą musimy płacić za rozpoczęcie przez Hitlera i przegraną przez niego wojnę. Nie podzielamy tego poglądu i nie podzielamy także naiwnej romantyki rezygnacyjnej niektórych Niemców”.

Aby nie było wątpliwości, że zdania te wypowiedziane zostały teraz, a więc w okresie, kiedy wszem i wobec Bonn głosi „politykę pojednania” podajemy datę wystąpienia: 29 kwietnia 1967 r.

Z innych wydarzeń ostatnich dni odnotujmy jeszcze: wizytę min. Adama Rapackiego w Turcji i sytuację w Grecji, dla której charakterystyczne są: zakaz działalności 260 organizacji związkowych i stowarzyszeń oraz oświadczenie ministra spraw wewnętrznych junty wojskowej — Patakosa, że nie przewiduje szybkiego odwołania stanu wyjątkowego.

Skoro już o Grecji mowa, warto przytoczyć słowa Ruska, który na temat przewrotu miał do powiedzenia tylko tyle: „Zadowolony jestem, że Grecja będzie nadal udzielała silnego poparcia NATO”

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ W komentarzu poświęconym aktualnej sytuacji wojennej, ukazujący się w Hanoi dziennik Nhan Dan pisze: „Wiemy bardzo dobrze, że będziemy musieli walczyć w bardzo ciężkich warunkach w ciągu długiego czasu, zanim osiągniemy zwycięstwo, lecz wiemy też, że Amerykanie nie mają żadnej szansy zwyciężenia. Mimo swych bombardowań, jakkolwiek ciężkimi by nie były, mimo bariery, Johnson nie będzie mógł odizolować rewolucji na południu”.

Kierunek w sztuce zostaje zaakceptowany dopiero wtedy, kiedy staje się elementem wystaw sklepowych.

(PABLO PICASSO)

■ Lia Erenburg, członek komisji literackiej, która ma za zadanie przygotowanie do wydania dzieł Borysa Pasternaka oświadczył, iż komisja

nie przygotowuje się do większych spuszczeń. W gorączkowej frustracji z powodu poniżających klęsk zadanych armiom okupującym Wietnam południowy, rząd USA w historii i nienawiści przechwala się swymi zamiarami, a zamiary jego są złe”.

■ Radziecka literatura — stwierdził poeta Andrej Wozniesiński — przeżywa renesans powieści psychologicznej. Dzieje się to pod wpływem „apokaliptycznych sił tkwiących we współczesnym świecie”.

■ Kanclerz Austrii Josef Klaus złożył w Budapeszcie 4-dniową wizytę. Jest to pierwsza wizyta szefa rządu austriackiego na Węgrzech od czasu rozpadu imperium habsburskiego w wyniku pierwszej wojny światowej. Wizytę kanclerza Klausu uważa się za kolejny krok do normalizacji stosunków między obu krajami, które zostały zakłócone w wyniku wydarzeń sprzed jedenastu lat.



Z cudzego talerza.

(Punch)

wypowiedziała się za wydaniem w Związku Radzieckim wszystkich dzieł zmarłego poety.

■ Stały delegat czechosłowacki przy ONZ wyraził oficjalnie gotowość swego rządu oddania do dyspozycji Rady Bezpieczeństwa oddziału wojsk czechosłowackich.

■ Stosunki zażyłości są przelotnym zjawiskiem. Wiele lat pracy w zawodzie doszedłem do kategorii sędzi, że nie sposób być obiektywnym dziennikarzem i jednocześnie przyjacielem prezydenta. (Walter Lippmann).

■ Pablo Casals — 90-letni wybitny kompozytor hiszpański, dyrygował skomponowanego przez siebie oratorium pokój „El Pessebre”. Koncert, w którym udział wezmą soliści ze Stanów Zjednoczonych, Puerto Rico, Grecji, W. Brytanii, chórz z Hiszpanii i Lamoureux Orchestra z Paryża, wykonany zostanie 29 maja w Genewie przed audytorium delegatów na konferencję pokojową zwołaną pod hasłem „Pacem in terris”, której obrady otworzy 28 maja sekretarz generalny ONZ U Thant.

■ Bertrand Russell: „Potworna machina militarna, która rządzi w Waszyngto-

■ Z szeregów Komunistycznej Partii W. Brytanii usunięto czterech działaczy za krytykowanie linii partii i opowiadanie się po stronie chińskiej w trwającym w światowym ruchu komunistycznym sporze ideologicznym.

■ Kubański dziennik „Granma” ponownie wezwał kraje socjalistyczne do udzielenia Wietnamowi „wszelkiej niezbędnej pomocy i przeniesienia wszelkiego koniecznego ryzyka dla sprawy bohaterstwa narodu wietnamskiego”.

Przyszłość jest wymówką wszystkich tych, którzy się we współczesności nie chce nic robić. (HAROLD PINTER)

■ Rozwijające się kraje Azji zaniepokojone są faktem ucieczki naukowo-technicznych kadr do Anglii. Z drugiej strony W. Brytania zgłasza pretensje wobec St. Zjednoczonych, które ściągają do siebie elitę naukowej i technicznej inteligencji. Tylko w ubiegłym roku wyemigrowało z Wysp Brytyjskich do ocean 933 inżynierów, 428 nauczycieli, 68 uczonych fizyków.

■ „Prawda”: Generał Westmoreland nie jest ani jastrzębiem, ani gołębiem, ani

sowa uosabiająca mądrość, jest on natomiast szakalem, próbującym okłamywać Amerykanów, aby zmusić ich do pogodzenia się z hańbą swego kraju.

■ Bruno Brem — zachodniemiecki pisarz w czasie publicznych wystąpień należy bacznie zwracać uwagę na wyraz swojej twarzy. Głupkowaty uśmiešek i wyszczerzenie zębów, zwyczajnie zapożyczone od Amerykanów, nam, Europejczykom, nie przystoju.

■ Z Waszyngtonu donoszą, że wkrótce Johnson podejmie decyzję zwiększenia liczebności sił amerykańskich w Wietnamie z 440 do 550 tysięcy, albo nawet 600 tysięcy żołnierzy.

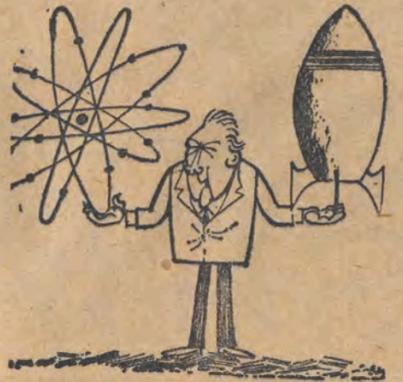
■ Teoretyczny organ KPCh „Honqu” stwierdza w artykule poświęconym świętu 1 Maja, że „Rozpoczęty i kierowany przez wielkiego przywódcę, przewodniczącego Mao Tse-tunga rewolucyjny ruch proletariacki, który przebiega obecnie w Chinach, jest rozleglejszy i bardziej burzliwy niż Komuna Paryska i Rewolucja Październikowa”.

■ Aby nie tracić pieniędzy na demontaż swojego pawilonu po zamknięciu światowej wystawy Expo-67 w Kanadzie — koszt demontażu wyniosłby około 4-5 milionów franków — rząd francuski postanowił sprzedać pawilon Kanadzie za symboliczną sumę 1 centa.

■ Francuski „L'Express” stwierdza, że od roku 1964 do 1967 globalna wartość radzieckich dostaw broni i amunicji dla Wietnamu wzrosła dwudziestokrotnie. Pomoc Chin stanowi zaledwie 5 proc. ogólnej wartości dostaw wojskowych dla DRW w ciągu ostatnich trzech lat.

Problem współczesnej gospodarki: Jak zrobić to, aby żyć jak się żyje. (KARL FARKAS)

■ Mirta Teresita Massa, 19-letnia modelka z Buenos Aires, zwyciężyła w konkursie na najpiękniejszą kobietę świata. Nagroda 10 tysięcy dolarów.



Kiesinger: — Kto powiedział A(tom), powinien powiedzieć B(omba).

(Junge Welt)

LISTY do REDAKCJI



THE MARRIAGE OFFICE IN WARSAW

SZANOWNNA REDAKCJO!

W związku z artykułem pana Adama Lewaszkiewicza pt. „Afera matrymonialna”, zamieszczonym w Waszym po czytym piśmie (nr 14 z dnia 9 kwietnia br.) poczuwamy się do obowiązku ustosunkowania się do zawartych w nim wniosków Autora.

Otóż słusznie podkreśla red. Lewaszkiewicz, że biura matrymonialne stały się ostatnio szansą dla wielu ludzi i że korzystają z tej szansy

coraz chętniej. Jednakże na tle tej dość specyficznej formy mającej służyć późniejszemu zawarciu związku małżeńskiego — dochodzić mogą fakty oszusta, jak widzieliśmy to na przykładzie prześlętej działalności Romana Jalochoy vel Zawadzkiego.

Zachodzi więc pytanie, czy i jakie podejmuje się środki ostrożności wobec osób szukających partnerów życia? Nieleżne wypadki oszustw — oczywiście, nie miary onianych oszustw Jalochoy — zna-

ne są w biurze i wypowiedziano im walkę.

Od listopada 1966 r. Biuro sprawdza wszystkie zgłoszenia przesłane pocztą — za pośrednictwem Głównego Biura Adresowego i Biura Ewidencji Ludności. Sprawdza się przede wszystkim dane osobowe klienta, jak i jego adres. Współpraca z wymienionymi instytucjami daje coraz lepsze rezultaty i pozwala wyeliminować spośród klientów te osoby, które podają nieprawdziwe dane lub adresy zamieszkania.

Osoby zaś zgłaszające się osobiście do Biura (osób takich notujemy znaczny procent) okazują swój dowód osobisty, który pozwala sprawdzić ich stan cywilny, wiek, miejsce zamieszkania itp.

Ale — jak to wynika z naszego listu — klientem Biura Matrymonialnego można zostać na podstawie zgłoszenia pisemnego, przesłanego pocztą. W zgłoszeniu takim klient podpisuje oświadczenie zapewnienia, że przyjmując pełną odpowiedzialność za

prawdziwość zgłoszonych danych. Uważamy więc, że robimy w tym kierunku wszystko, na co pozwoliły mogą ramy naszych możliwości.

Podkreślamy jeszcze, iż nie podajemy do wiadomości klientów żadnych adresów, a korespondencja przesyła się przez Biuro na poszczególne numery. Od samego początku działalności W. B. M. „Syrinka” stało się to fundamentem i przestrzegana rygorystycznie zasada.

Z reasumowania naszych wypowiedzi wynika, iż wniosków nader oczywiście: klient Biura, który po zawarciu znajomości prosi o pożyczkę itp. winien stawać się w oczach drugiego partnerem podejrzanym i nie zasługującym na wiarę. Partner uczciwy stawia na miejscu pierwszym sprawę nadrzędną, jaka jest małżeństwo.

Pozdrawiamy i pozostajemy z wyrazami szacunku KIEROWNICTWO BIURA (→) Edward Karłasiński (→) Olga Serozykova

Jutro - Koluszki pojutrze - może Księzyc

Przez grube, żółte szyby słabo przenika światło. Na ścianach ścielają się cienie, jakie czasem można spotkać w starych kościołach lub kaplicach. Chociaż tutaj właściwie nie ma ścian. Są tylko książki. Książki uszeregowane jak karna armia, jedyna chyba armia świata, która podbija kontynenty bez przelewu krwi.

Wędrówka od mrocznych piwnic, gdzie spoczywają na półkach grube foliały starych czasopism i gazet, przez pięć pieter pomieszczeń magazynowych aż do regala, na którym wdzięcznie polyskują grzbietai ostatnie nowości wydawnicze. Tylko miesiąc opóźnienia w stosunku do tego, co możemy spotkać w sklepie. Opracowanie katalogowe książki zajmuje około miesiąca, imponujący księgozbiór: 182.108 tomów. Stan w dniu, w którym to piszę, 5 maja, Jutro będzie ich więcej. Pojutrze? Wolnego miejsca w magazynach pozostało już bardzo niewiele. Te książki, uszeregowane jedna obok drugiej, ciasno przywierające do siebie okładkami potrzebowały półki długości 25 km, niemal tyle, ile wynosi odległość koleja z Łodzi do Koluszek. Dokąd będziemy mogli odbyć podróż wzdłuż grzbiatów książek za następnych 50 lat?

Do jubileuszowego portretu pozuje pierwsza łódzka księżnica z prawdziwego zdarzenia, Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego, jedna z pierwszych tego typu placówek w kraju. Rodziła się mozolnie. Przez wiele lat idea takiej księżnicy, godnej przemysłowego znaczenia miasta Łodzi, była marzeniem polskiej inteligencji w tej długo osadzie fabrycznej, gdzie już ukształtowali się kapitaliści a dopiero formowała się klasa robotnicza. Kustosz biblioteki, długoletni pracownik Izabela Nagórska powie:

— Robotnicy byli typem czytelnika niewdzięczniejszym, najbardziej chłonnym.

Zanim została kustosiem przez trzynaście lat pracowała przy bibliotecznej ladzie doświadczając tej niepojętej dla ludzi innych zawodów satysfakcji, jaką daje kontakt z człowiekiem poprzez książkę. Weznie zrozumiała, że bibliotekarstwo jest jej powołaniem. Miała odwagę to zrozumieć w czasach, gdy bibliotekarstwo było prawie dyshonorem dla człowieka z wyższym wykształceniem, gdy ludzie z uniwersyteckim dyplomem zabiegali przede wszystkim o posady pana albo pani profesor w gimnazjum. Znajomi ze studiów dziwili się, pewnie po staropolsku nazywali ją w myśli sensatką.

Jakie były początki? Trzeba odwołać się do pracy nieżyjącego już Witolda Wieczorka, który w pionierskiej monografii spisał pierwszych czterdziestu lat dziejów Miejskiej Biblioteki Publicznej. Cytowany za nim artykuł Wiktora Czajewskiego, wydawcy dziennika „Rozwój”: „Potężny wzrost Łodzi niezadługo wytworzy grono ludzi, którzy o pracy książkowej pomyślą, którzy w godzinach pozabiurowych zateńsknią za nauką i będą chcieli nabytą wiedzę uzupełnić lub pracą mozolną ją zdobyć. Dla tych ludzi zbiór poważniejszych książek jest konieczny i niezbędny, a Łódź zbiór taki dać im powinna...” — czyż nie brzmi dzisiaj jak opowieść z prastarych czasów? Zerknijmy na datę gazety: 3 grudnia 1897 r.

Potrzeba było jeszcze dwudziestu lat, aby myśl o powołaniu w Łodzi biblioteki stała się rzeczywistością. Trzeba było wielu mozolnych lat zabiegów i starań wokół tej idei Towarzystwa Krzewienia Oświaty, a później Towarzystwa Biblioteki Publicznej. Był to zrazu samotniczy wysiłek świątynnych ludzi, takich jak dr S. Sterling, jak inż. Oskar Gross, którzy własnym przemysłem organizowali fundusze na zakup księgozbiorów odwołując się do uczuć fi-

lantropijnych niezbyt zainteresowanych tą sprawą fabrykantów. Darowizny przemysłowców, to był snobizm późniejszych lat (do legendy już niemal przeszła rolwaga książek ofiarowanych przez spadkobierców Silbersteina). Początek biblioteki stanowiły cztery pokoje kamienicy czynszowej przy ul. Piotrkowskiej 150, gdzie urzędował



pierwszy etatowy pracownik księżnicy — wóznym Ludwik Warycha, dziś emerytowany bibliotekarz.

W tym czasie bibliotekarza jeszcze nie było. Na stanowisko to rozpisano dopiero publiczny konkurs, jak dziś rozpisuje się konkursy na spikerów telewizyjnych czy na obsadę ról w filmie. Powtórzmy, znów za Wieczorkiem, ogłoszenie opublikowane w lutym 1917 roku na łamach „Godziny Polskiej”: „Biblioteka Publiczna w Łodzi poszukuje kandydata na bibliotekarza. Pierwszeństwo mieć będą kandydaci, którzy pracowali w tym kierunku. Oferty z podaniem kwalifikacji i warunków należy składać tylko piśmiennie w lokalu Biblioteki Publicznej, P.otrkwowska 150”.

W konkursie zwyciężył Jan Augustyniak, nauczyciel ludowy i samouk, pierwszy dyrektor biblioteki.

Bardzo były skromne te pierwsze lata działalności księżnicy, nawet wówczas, gdy dzięki przeniesieniu do nowego lokalu przy ul. Andrzeja 14. Ten ponury budynek, który dzięki książkom zdobył nową, surową urodę wspominają do dziś z rozczuleniem ludzie związani z biblioteką na dobre i złe, na całe życie, tacy jak Sabina Sulikowska, Stanisława Kubiakowa, Edward Jaworski czy też pracownicy czynni do dziś, którzy w ciągu wielu lat pracy zdobyli wyższe wykształcenie: Zofia Strzeleczyk, Barbara

Durajowa, Zofia Rudnicka, Zofia Kula-gowska.

— Pieniądże nigdy nie stanowiły bariery między książką a czytelnikiem — wspomina Izabela Nagórska, kiedy pytam o drobne opłaty pobierane przed wojną za wstęp do czytelnia.

Przeszkody? Przeszkodą była ciasnota lokalu, zaledwie 50 miejsc na sali czytania książek i wielu chętnych z braku miejsca musiało odejść od drzwi biblioteki. Niektórzy wytrwale czekali w kolejce, aż zwolni się jakieś krzesło. W tych latach księżnica była nie tylko biblioteką, była dla miasta pozabawionego wyższych uczelni uniwersytetem powszechnym.

Przejęcie biblioteki przez magistrat, co nastąpiło dopiero w roku 1922, pozwoliło, dzięki funduszom miejskim, na świadome kształtowanie księgozbioru. Od początku wiele uwagi poświęcono literaturze społeczno-politycznej. Bibliotekarze wspominają „zaczynane” egzemplarze dzieł Marksa i Engelsa, najbardziej atrakcyjną lekturę lat

mane dekoracje teatralne, bezładne stopy książek, obok wapno czy cement. Ież potrzeba czasu, żeby z tych zwalonych stosów ułożyć księgozbiór? A tego czasu nie było. Przychodzili żołnierze, żądali map. Otwierały się szkoły, przychodzili wyrosnięci uczniowie, domagali się podręczników. A my mieliśmy tylko dobre chęci i wózek. Na tym wózku bez wytchnienia woziliśmy książki na ul. Andrzeja do przedwojennego gmachu biblioteki.

Przychodzili ludzie wszystkich zawodów, przychodzili najwybitniejsi pisarze, którzy utracili swoje księgozbiory w bombardowaniach, w powstaniu, przy wysiedleniu. Księga pamiątkowa biblioteki piena jest wzruszających wpisów, ale z tego szlamobucha wybieram tylko jeden z lat już ostatnich:

„Były dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej dzięki Dyrektorowi Biblioteki Miejskiej in. Ludwika Waryńskiego za zaproszenie na tłumnie wypełniony wieczór niejakiego Juliana Przybosa.

12/XI 1964 r.”

Ten wpis został dokonany przez największego poetę Polski Ludowej, w którego biografii odnaleźć można lata pracy w bibliotekarstwie. Wieczór autorski, o którym wspomina, odbył się w gmachu przy ul. Gdańskiej, siedzibie biblioteki od roku 1950.

Któż z nas zdaje sobie sprawę, że to tak niedawno, że to zaledwie kilkanaście lat dzieli nas od otwarcia lokalu przy ulicy Gdańskiej? Biblioteka tak wrosła w pejzaż miasta, w pejzaż architektoniczny i kulturalny, jakby tu była wieczna.

Ale w bibliotekarstwie nigdy właściwie nie ma spokoju. Skończył się okres bohaterski pierwszych dni po wyzwoleniu, zaczął się równie bohaterski okres systematycznego wzbogacania zbiorów, poszukiwań w antykwariatach, wyjazdów do innych miast na aukcje książki. Kraków, Poznań, Radom, Lublin, Gdańsk, Kielce, Wrocław, Warszawa, Bydgoszcz. Silna konkurencja innych bibliotek. Starowski: „Świątynia Pańska”. Cena wywoławcza na aukcji 2000 zł. „Waryński” bił się do 2300 zł. Inni dali 2700 zł. Czasem jednak na licytacji wychodzi niepokonany. „Lup” ostatniej aukcji w Krakowie — Putanowicz Józef Alojzy: „Zycie Cuda y Dzieie Kanonizacyj S. Jana Kantego”, druk Akademii Krakowskiej z r. 1780, 500 zł. Petro Poznaniense: „Splendore Hierarchie Politicæ et Ecclesiasticæ In Quintuplici Indice in Gratiam et Usum Praedicatorium”. Kraków 1652 r., cena 1000 zł.

Od dwóch lat mozolnie gromadzi się zbiory specjalne, które udośćniowane zostają czytelnikom po wybudowaniu nowego skrzydła gmachu, co nastąpi już w najbliższym czasie. Do tej pory zebrano już ponad 2000 druków, 3 inkunabuly z lat 1475-1481, wspaniałe atlasy z XVII w. Biblioteka dysponuje też bogatą kolekcją albumów z historii sztuki, gromadzi eksponaty do Muzeum Książki Dziecięcej będące w stadium uruchamiania.

Nie są wcale takie rzadkie wypadki cennych nieraz darów od nieznanych ludzi z najdalszych zakątków świata. Ofiarowali książki Otto Spatrz zamieszkały w Monachium, Jan Warszawski z Rzymu, W. Adams z Los Angeles, J. Kostrzewski z Londynu. Może niegdys byli pierwszymi czytelnikami biblioteki z ulicy Piotrkowskiej 150 albo z ulicy Andrzeja 14?

Ale Miejska Biblioteka Publiczna im. Waryńskiego to nie tylko gmach przy ulicy Gdańskiej z dwudziestopięciokilometrowym rzędem książek. To także blisko 70 wypożyczalni rejonowych w śródmieściu i na krańcach miasta, w nowych, przestronnych pawilonach i w wilgotnych kłitkach, gdzie zimą bibliotekarze i czytelnicy grzeją sobie ręce przy „koziołach”. 748.414 książek w obiegu, w najpiękniejszej, przynoszącej zaszczyt służbie.

Jeszcze jeden rzut oka na czytelnik, rzut oka na ladę biblioteczną, gdzie pan Kaczmarek, jak w latach moich studiów, podaje książki nowym pokoleniom łódzkich akademików. Trzaskają drzwiczki windy, przy innej zapala się światełko, gdzieś na piętrze długi, przeciągły dźwięk sygnału, który umilknie, kiedy dyżurny pracownik w magazynie uchyli drzwiczki windy.

Pani Nagórska mówi jeszcze:

— Może to paradoksem, we wszystkich wypożyczalniach mamy koła przyjaciel biblioteki, a nie ma takiego koła u nas, w gmachu głównym.

Zgłaszam swój akces do takiego koła, zgłaszam na tym miejscu jako reporter, zgłaszam w każdym miejscu i porze jako czytelnik.

Nożycami przez PRASĘ

Z POWODU DNI

„Trzeba by coś zrobić dla odświeżenia tradycji — pisze KTT, znany felietonista „Kultury”. I stwierdza, iż „wytarły się” Dni Oświaty, Książki i Prasy. Łatwo konstruujemy schematy, z których potem nie umiemy lub nie chcemy wyleźć.

Repliki znajdujemy w dwutygodniku lubelskim „Kamena”. Poeta i publicysta Zygmunt Mikulski sięga po przykłady ze wsi. Zdale się, że jest to słuszna propozycja „kierunkowa”. Posłuchajmy Mikulskiego:

„standard kultury na wsi to nie tylko świętąca, klub Ruchu, czy rolnika, ale również ośrodek zdrowia, zlewnia mleka, droga

o stałej nawierzchni, ilość i jakość sprzętu w parku maszynowym kółka rolnicze. Doprowadzamy do tego, by potrzeby kulturalne nie wynikały organicznie z poziomu życia, poziomu cywilizacji na wsi, gdyż dopiero ta zależność zapewni trwałe powstawanie „faktów kulturalnych” mających gwarancję swej stałości przez ich miejsce w systematyce całości spraw danego ośrodka.

Chodzi właśnie o doradcowanie się tej wspólnoty zależności. O poszukiwanie form dla działalności, pogłębiającej związki kultury duchowej z materialną, kultury „odświeżonej” z praktyczną życia codziennego. Z kulturą życia na co dzień. Zupełnie na marginesie

warto zanotować ciekawostkę: w prasie łódzkiej zabrakło miejsca na przykładowe choćby wymienienie autorów podpisujących książki na kiermaszu. Zależoby to najwyższe dwie lub trzy linijki druku w szpalcie. To, co widzieliśmy w parku im. Sienkiewicza, świadczyło o wyjątkowo dużym zainteresowaniu autorografami.

REYMONT

I znówu rozbieżność. Wiele uroczystości w stulecie urodzin mało książek. Prof. Jan Z. Jakubowski w artykule „O Reymoncie — najbardziej osobliwym”. Często się mniemało i mniema, że „Reymont ukazuje świat statyczny, niezmienny”. Przeczytawszy epopeję „Chłoni”:

W istocie obraz życia w tej najświetniejszej powieści Reymonta jest dramatyczny, rozdzierany nie tylko gra odwiecznych instynktów, miłości i niewiasty, ale i wichrem historii. Krusza się stare obyczaje, wzrasta świadomość i zdolność chłonoj do niedawna pańszczyźnianych.

Prof. Jakubowski konkluduje: Reymont wywołał się z roku wielkich realistów dziewiętnastowiecznych i mimo silnych wpływów na naturalizm i symbolizm — kontynuował tradycję powieści społeczno-obyczajowej o wielowarstwowej, bogatej w epizody, nasyconej mnogością realiów.

Autor znajduje okazję do wznadu pod adresem wspaniałej prozy polskiej: Ale kiedy od lektury nie których powieści współczesnych, tak uboższyna prezentujących wiedz o autentycznym życiu społeczeństwa i tak natrętnie często imitujących nie istniejące naprawdę głębie psychologiczne i intelektualne, wrócić do Reymonta, to — przy wszystkich zrywniach na wiele stronie zamierzonych symbolicznie — nastrojowa poetyka — z satysfakcją odbyłem wędrowkę z autorem, tak uparcie, z rzetelną pasją, penetrującym życie polskiej wsi, małych miasteczek i stacji kolejowych, z autorem wyciecznym się z aktorami prowincjonalnymi i zaglądają-

cy do łódzkich fabryk i pałaców potentatów przemysłowych, z autorem podejmującym również twórcze wypadki w dziedzinie historii.

Gotów ktoś zauważyć, że zaprawowy mię przy lek turze Reymonta sprawy raczej marginesowe — drobne realia, opisy ludzi, przyrody, przedmiotów. Ale już tyle gromadzić i zaciętny na naturalistyczne „opisywaństwo”, że aż wytrzebiłmy z wielu wspaniałych powieści niemal całe zmysłowe bogactwo świata.

Od siebie dodajmy, że poeta również nazbyt chętnie unika „zmysłowego bogactwa świata”.

KONCERTY THE ROLLING STONES

„Prawo i Życie” zamieściło długolis, wywołany przez okoliczności towarzyszące występowi angielskiego zespołu w Warszawie, P. Aleksander Rowiński stwierdza: Oba fakty: big-beat i rozróża wywołały fale nagany dla młodzieży — big beat dezaprobaty, rozróżka potępienia.

Ale jednocześnie szuka usprawiedliwienia dla słuchaczy; leniej w tym wypadku powiedzieć dla: uczestników.

Do Sali Kongresowej przyszedł na widowisko, przyszedł po narkotyk, przyszedł wykrzyknąć się, przyszedł dopingować. Przyszedł dopingować, jak publiczność stadionów dopinguje zespoły sportowe i czego nikt nikomu nie ma za złe.

Parafrazując cytat z Pisma Św., da się powiedzieć: po jakości reakcji ich poznać!

Podpisany inicjałami czytelnik „Prawa i Życia” w liście do redakcji zdecydowanie wstępuje przeciwko temu rodzaju imprezom. Mocne uderzenie chuliganów i w chuliganów przy okazji wybrzyków w związku z występowaniem „Rolling-stonsów” raz jeszcze skłania do zastanowienia. I do wytknięcia, że nie tylko ulegamy obcej, destrukcyjnej fali, ale że sami ją snieżyamy.

Przechodzi na myśl zagadująca polityka w dziedzinie walki z alkoholizmem: rozgrzeszamy pijaków, bo korkowe przez nich opłacane służy do walki z pijakami i pijactwem... Tak i tu. Organizujemy, pobudzamy manifestacje barbarzyństwa, brutalności, by wtedy gdy zaczyna się ono panoszyć, turbie zdziwiona minę... Czytelnik, przytaczając recenzję, schlebającą w zasadzie tego rodzaju praktykom, pisze: Co jednak najbardziej obraża i musi oburzać, to schlebanie jawne i publiczne tym odruchom, wznawianie młodzieży, że tak być musi, bo tak jest dobrze. Bo modnie, Bo zachodnio.

A więc: nie słychać muzyki, nie słychać śpiewu, jest tylko wrzawa, charakterystyczna sie wielka ilośća decybeli. Gdybyż tylko wrzawa! Powstała kwestia, czy to są zdarzenia artystyczne, należące do recenzentów muzycznych, czy też fakty z dziedziny penetrowanych przez socjologów. Wszwstko wskaże na to drugie. Nieśteży, nie bo raz pierwszy. Nie bójmy się tedy, że nas posiadza o zafacanie, ba o obskurantyzmie! JAN OLECHNO

Żołnierze i sztandar

LEW KOŁODNYJ



W ostatnich dniach wojny, kiedy pułki szturmowały Berlin, miało miejsce pewne zdarzenie, którego uczestnikami byli moskwićanie, zwiadowcy-artyleryści Iwan Liadow i Aleksander Cygankow.

Jakoś tak wyszło, że w powszechnej radości ze zwycięstwa mało kto dowiedział się o wykonaniu przez nich najtrudniejszego bojowego zadania. Od tej pory upłynęło ponad dwadzieścia lat. Chciałbym, żeby możliwie największej liczbie ludzi dowiedziało się o tym, czego dokonali dwaj żołnierze, dwaj moskwićanie robotnicy — Iwan Liadow i Aleksander Cygankow.

Oto o czym opowiadają linijki listy nagrodzonych, zestawionej 4 maja 1945 roku:

„Dowódca dywizjonu postawił grupie zwiadowców bojowe zadanie: za wieść sztandar dywizjonu nad Reichstagiem. Otrzymałszy zadanie, zwiadowcy wysuwają się w bojowym szyku napierającego na Reichstag 2 batalionu 525 pułku piechoty

171 dywizji piechoty 3 armii uderzeniowej...”

To było tak. Niebo zrzucało na siebie ostatnie kłęby obłoków, a wiatr rozosił je. Cała ziemia poszarzała od popiołu. Pachniało prochem.

Koniec kwietnia, zbliżał się koniec wojny. Żołnierze patrzyli na mroczne domy miasta, w którym już długie lata — wiedzieli — znajdował się wilycz barłóg. Trzeba było teraz dobiec zwierzę w jego własnym legowisku.

— Kto chce zawiesić sztandar zwycięstwa na Reichstagu?

Tak pytał swoich żołnierzy dowódca baterii porucznik Durseniew. Dostał rozkaz wybrania ochotników. Durseniew był młodym, odważnym oficerem, ale w głębi duszy uważał zadanie za niewykonalne. Reichstag, otoczony transejami i rowami, wypełniony uzbrojonymi po zęby hitlerowcami, był potężną twierdzą, którą można było zgnieść tylko ogniem czołgów i armat. „Wzięcie Reichstagu było trudne i złożone — pisał dowódca batalionu, Bohater Związku Radzieckiego N. P. Sazonow — zważywszy, że obrona została powierzona doborowym zuchom ze szkoły morskiej, dookoła znajdowało się 15 czynnych żelazobetonowych punktów ogniowych, a wszystkie wejścia i okna budynku zabarykadowano”.

Dowódca dobrze znał swoich żołnierzy i nie zawiódł się na nich. W

trzęcim dywizjonie jako pierwszy zgłosił się do wykonania zadania Iwan Liadow. Wszyscy znali i wszyscy lubili tego niezwykle odważnego, niezwykle wesołego żołnierza. Durseniew z bólem serca pożegnał się ze zwiadowcą. A on czuł w sobie wtedy, wiosną 1945 roku tyle mocy, że mógłby wykonać każde zadanie.

Ochotnicy zebrali się w sztabie dywizjonu. Oprócz Liadowa przyszedł tutaj z innej baterii także moskwićanin Aleksander Cygankow, zwiadowca. W skład ich grupy wszedł jeszcze jeden żołnierz — Mikołaj Systerow.

Dowódca dywizjonu kapitan Strukow pokazał na mapie marszrute, a później, zwracając się do Liadowa i Cygankowa, dodał:

— No, moskwićanie, czy pamiętacie Teatr Wielki z kolumnami? Reichstag jest nieco podobny, tylko czarnego koloru. Przejawicie się przez Sprewę, tam już zaraz...

Dowódca ostrożnie przekazał Liadowowi owinięty pokrowcem niewielki czerwony sztandar z cyframi „3” i „86”. To znaczyło: 3 dywizjon 86 brygady artyleryjskiej ciężkich haubic.

Kapitan objął wszystkich zwiadowców i na pożegnanie powiedział tak:

— Wróćcie bohaterami...

Szli długo, początkowo przez dzielnicę zajęte przez swoich. Przedzielali się kolektorami, przez piwnice, aż doszli do domu stojącego nad samym brzegiem. Z piwnicznego okna zobaczyli rzekę. Nad wodą sterczały wiazania wysadzonego mostu. Był oświetlany rakietami i cały ostrzelany z armat i cekaemów.

Od rzeki niósł się wiatr. Niezbyt szeroka Sprewa, odziana granitem, przegrodzona żelaznym mostem — ich ostatnia przeprawa. Niełatwo jest posuwać się naprzód pod ogniem na lądzie, a po wodzie — w dwójnasób trudno. Ze swojego ukrycia zwiadowcy zauważyli na drugiej stronie dom, gdzie będzie można się ukryć. Pod ostroń nocy zaczęli opuszczać się ku mostowi. Kule i odłamki niesły się im na spotkanie. Ledwie słyszalnie krzyknął i zgiął się Mikołaj. Był ranny. Pośpiesznie go przewiezli. Liadow rozkazał Systerowowi, żeby wracał do jednostki.

Tak więc zostało ich tylko dwóch na przeprawie. Z przodu nieprzyjaciel, z tyłu swoi — trzeba iść naprzód. Ale teraz musieli przebiec się do samego barłogu zwierzęcia, gdzie każdy dom zamienił się w twierdzę, a Reichstag najęzony gardzielami armat — w niedostępny bastion. Żołnierze mieli tylko automaty i czerwony sztandar. Ukrywając się na pierś pod bluzą Iwan Liadow wszedł do wody a za nim Aleksander Cygankow. Pierwszy raz żołnierze szli wspólnie wykonać zadanie. Ale do tej pory spotkali się już dwukrotnie. Los połączył ich na łuku kurskim.

Bateria Liadowa i Cygankowa zajmowała stanowiska obronne przy stacji Ponyra. Miejsowość ta słynie ze wspaniałych jabłek. I wówczas, w lipcu 1943 roku, drzewa w sadach uginęły się od owoców. Ale nie było kiedy ich strząsać.

Prosto na artylerzystów walił się żelazny potok. Nawet na szerokich polach ciasno było czołgom. Zwiadowcy, którzy leżeli wysunięci przed swoimi bateriami, mieli do zrobienia tylko jedno — skierować na siebie ogień wszystkich dział. Wybuchy wznosiły się murem, jeden przy drugim, jakby ktoś trząsał ogromnym drzewem z pozawieszanymi pociskami. Ogień na siebie! Teraz, posuwając się z czerwonym sztandarem, także skierowywali na siebie ogień.

Zawiesić sztandar. Kto z żołnierzy nie marzył o tym, żeby własnymi

rękami unieść sztandar nad Reichstagiem? Przecież to oznaczało koniec wojny.

Do butów nabierała się chłodna, kwietniowa woda. Kryjąc się w rurowiskach mostu zwiadowcy zaczęli przeprawę. Nikt ich nie zauważył. Most osłaniał swoim pancernym śmiałków do połowy rzeki. Dalej został wysadzony.

— Przepłyniemy? — spytał Aleksander Liadowa.

— Przepłyniemy — podtrzymał go Liadow.

W ciemności Iwan widział głowę i automat Aleksandra. Ten nie zawrócił. Cygankow jako pierwszy do płynął do brzegu. Jakby salując im, po dokonaniu przeprawy, od wschodu zaczęły strzelać ciężkie działa, wskazując drogę do Reichstagu.

Nie zauważeni przez nikogo dobiegli do piwnicy sąsiedniego domu. Wszystko na nowo wydawało się wymarłe.

Ale rozległy się obce głosy, kroki. Wprost na nich szło trzech. Za trzymali się obok. W rękę jednego błysnęła zapalniczka, oświetlając nachylone twarze. Przypalić nie zdążył żaden. Liadow położył wszystkie krótką serią z automatu.

Gdzieś obok słychać było szum motoru. Czyżby czołg? W oknach sąsiedniej piwnicy migotało coś jak światło elektryczne.

Nikt nie przywitał żołnierzy ogniem. W piwnicy rzeczywiście pały się lampy elektryczne. Prądu dostarczał silniczek, którego szum usłyszeli. W piwnicy ukrywali się ludzie. Przeskraszyli się żołnierzy krzykami... po rosyjsku. Były to nasze dziewczyny wywiezione do Niemiec. Ukryły się w ambasadzie szwajcarskiej. Zwiadowcy zauważyli między nimi gospodarzy — Szwajcarów.

Już świtało. Dalej nie mogli iść. Postanowili spędzić tutaj dzień, aż do zapadnięcia zmroku. Dziewczyny nakarmiły zwiadowców, zagotowały herbaty. Ktoś przyniósł gitarę, taką z sześcioma strunami, jaką miał Liadow.

Cóż to nie wydarzy się na wojnie! Dwa kroki od ambasad szalała śmierć, szedł ostatni, decydujący bój, a tutaj Liadow z Cygankowem popijali herbatę. Iwan nawet cicho śpiewał, przygrywając na gitarze. Nadeszła noc. Dniem zwiadowcy rozjeździł się — nieopodal ambasad rozłożył się ogród. Pni drzew było nie mniej niż luf armatnich. O sto kroków — Reichstag.

Czas iść. Przy wyjściu któryś ze Szwajcarów podał Liadowowi na pożegnienie ręczny zegarek ze świecami i wskazówkami. Wskazywały pierwszą w nocy.

Liadow często spoglądał na podarowany mu zegarek — podobał mu się. Zielonkawa wskazówka wskazywała pierwsze minuty drugiej. Do Reichstagu było teraz całkiem blisko.

Światło wybuchu padło na zwiadowców. Iwan zauważył drzwi bunkra znajdującego się w połowie drogi do Reichstagu, polny kamień, a na stopniu wiodącym do piwnicy kawałek czerwonej tkaniny. Co będzie, jeśli zarzuci czerwien na ścianę? Liadow urwał kawałek tkaniny i zawiązał w nią ciężki kamień.

Tak, Reichstag można było dotknąć ręką, kamień doleci. Otwierając szerzej drzwi bunkra Iwan cisnął kamień celując w gzyms. Pod czas lotu tkanina rozwinęła się i opadając na gzyms, przycisnęła kamieniem, załapała na wietrze jak flaga. Nadciągający wiatr porwał tkaninę. Liadow powtórzył wszystko od początku, wybierając cięższy kamień, ale tym razem nie dorzucił go. Nie, tak nie wyjdzie.

Liadow rozwinął płachtę na małym drzewku. I jeszcze raz przyrzekał jej, jakby sprawdzając, czy

są na swoim miejscu numer jego dywizjonu i brygady. Gdzie tamci są teraz?

W odpowiedzi na jego pytanie w Reichstag uderzyły pociski. Armaty były gdzieś zupełnie blisko. Nasze formacje forsowały Sprewę, zajęły „dom Himmlera”, koncentrując cały ogień na Reichstagu.

— Chodźmy za naszymi pociskami!

I poszli, otoczeni kłębami dymu, które ukryły ich jak zasłona.

Oto on — narożnik ogromnego budynku. Drzwi Reichstagu. Wybiegają i wbiegają żołnierze. W nieprzejrzanym ciemnościach wzięli Liadowa i Cygankowa za swoich.

Iwan zdecydował się. Szybko związał końce sztandaru sznurkiem, przewiesił go razem z automatem przez szyję i... wszedł do Reichstagu.

Aleksander stał na dole budynku trzymając w pogotowiu automat. Nie potrzebowali przyzwyczajać się do ciemności. Wewnątrz twierdzy taka sama nieprzenikniona zasłona. Słychać tylko oddechy ukrytych w szczelinach, gniących wrogów.

Liadow wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Na podestę dał wiatr, wdzierający się przez przeszelinę. Nasi artylerzyści zrobili prezent chorążemu. Przeszelina w ścianie stała się obsadą dla sztandaru.

Gdzieś, całkiem blisko uderzył pocisk. Posypały się odłamki.

Iwan nie myślał w tamtej chwili, że mogą go zabić. Zdzierając paznokcie zawieszał na ścianie sztandar. Koniec drzewca wcisnął w szczelinę zastójnego kamieniem okna. Krótki huk bluzę podciągnął mu się. Wskazówki zegarka pionyły sforyzującym ogniem: 2.15. To był doskonały zegarek szwajcarski i nieomylnie odmierzał czas, kiedy 30 kwietnia 1945 roku dokonywał się bohaterki czyn. Rosyjski żołnierz Iwan Liadow i jego towarzyszy broni Aleksander Cygankow zawiesili flagę swego kraju na murze Reichstagu.

Teraz pozostała droga powrotna, najpierw do bunkra, a potem do ambasad. Tam znajdował się już punkt obserwacyjny Durseniewa. Dziewczyny opowiadziały porucznikowi, że poprzedniej doby byli tutaj dwaj radzieccy żołnierze. Durseniew nie wątpił, że byli to Liadow i Cygankow. Ale czy jeszcze żyją? Reichstag stał w ogniu. I nagłe oni wyłonili się z dymu i płomieni pośpiesznie meldując:

— Zadanie wykonane!

Zadanie wykonane... Sens tych słów nie od razu był jasny. Durseniew rzucił się ku oknu, ale przez dym nie można było nic zobaczyć. Zadanie wykonane! To znaczy, że tam, na murach Reichstagu już powiewa czerwona flaga. Jak na skrzydłach wieść niosła się z ust do ust, i prześcignawszy ogłoszenie jej przez radio, dowódcy meldowali: nasz sztandar zatknięty na Reichstagu!

Przez całą noc 30 kwietnia trwało przygotowanie oddziałów do decydującego szturm. Zaczęli się rano po silnym przygotowaniu artyleryjskim. Piechota z czerwonymi sztandarami i flagami poszła do ataku, żołnierze walczyli o każdy metr ostatniej twierdzy faszystów w Berlinie.

Podczas walki zwiadowcy M. Jegorow i M. Kantaria wspięli się ze sztandarem najwyższej, na kopule Reichstagu i zawiesili go tam o godz. 22.50. O tym sztandarze wie cały świat, stał się on Sztandarem Zwycięstwa.

Alle oprócz tego sztandaru liczne oddziały pozawieszały na Reichstagu czerwone flagi szturmujące legowisko hitlerowców. Cały Reichstag, wszystkie ściany były po walce obwieszane zwycięskimi proporcjami. Wśród nich nie można już było znaleźć pierwszej flagi, zatkniętej przez Liadowa i Cygankowa.

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

STUDENT — istota nieznaną

Dalszy ciąg ze str. 4

Mama mnie uczyła, żeby nie lubić tandy.

AM — M, Lekarski (IV)

Nowoczesna sztuka? Orgia barw i dźwięków. Nie lubię nowoczesnej sztuki, może dlatego, że jej nie rozumiem.

PL — K, Włókiennictwo (I)

Nowoczesna sztuka zrozumiała jest tylko dla wtajemniczonych, a przecież nie o to chodzi. Sztukę powinny odbierać szerokie rzesze ludzi, a nie mały krąg odbiorców. Przeciętny widz oglądając nowoczesny teatr męczy się gorzej niż przy pracy fizycznej. Czytając nowoczesną poezję dochodzi się do wniosku, że jest to zlepek słów przypadkowo upadających autorowi na myśl. Gdzie są czasy pięknej poezji polskiej? Obecnie tworzy się po to, aby czymś zaimponować (forma, styl), byle byłoby to coś nowatorskiego.

UL — M, Prawo (IV)

Nowoczesność — profanacja sztuki.

UL — K, Filologia (II)

Gustuję w nowoczesnej sztuce przede wszystkim z tego względu, że zawiera ogromnie dużo fantazji i daje swobodę interpretacji.

UL — K, Filologia (II)

Kobieta współczesna jest mądrzejsza od swojego praprapradka, ale sztuka nowoczesna nie uczyniła nic by być lepszą od swojej przatki. To nie jest sztuka, ale indywidualne życie autora.

UL — M, Ekonomia (III)

Nowoczesność w sztuce budzi we mnie niepokój — co będzie dalej? Odrzuca mnie niekomunikatywność dzieł nowoczesnych, która budzi bardzo często pytanie: o co tu właściwie chodzi? Ale jeżeli nowoczesny obraz, rzeźba zatrzyma mnie samym kształtem, kolorem, fakturą, uważam, że jest to bardzo dużo. Kto wie, może o to chodzi?

UL — K, Filologia (V)

Kto to zrozumie?!

AM — M, Lekarski (V)

W sztuce popieram każdą nowoczesność — byle tylko jej twórcą i autorem był człowiek. Najbardziej nowoczesne techniki

malowania (np. używanie maszyn, pistoletów, mat, niedźwiadków itp.) uważam jednak za absurdalne. Sztuka zawsze powinna coś przedstawiać i wyrażać, a czy maszyna lub zwierzę potrafi myśleć, czuć, widzieć i potem namalować? A tak szczerze mówiąc, to jednak wolabym obejrzeć np. Tretjakowską Galerię niż wystawę dzieł samego nawet Picassa.

PL — K, Chemia (II)

Uwielbiam big-beat i mini-spódniczki, długie włosy u panów.

PL — K, (IV)

Generalnie biorąc muszę ocenić swój stosunek do sztuki nowoczesnej jako negatywny. Lubie np. rzeźby Dunikowskiego, ale sztuka Picassa przeraża mnie. To jest profanacja. Uarto się nazywać dzieła wykonane przez artystów pokroju Picassa za dzieła sztuki. Owszem, może i ma to coś wspólnego ze sztuką, ale bardzo mało.

UL — K, Geografia (II)

Malarstwo — nie lubię, nie cierpię nowoczesnej sztuki! Same kiczmo moim zdaniem! Lubie nowoczesną muzykę, film!

AM — M, Lekarski (IV)

Nie lubię nowoczesnej poezji, nie rozumiem jej. Podoba mi się nowoczesność w malarstwie oraz szukanie nowych form w rzeźbie.

PL — K, Włókiennictwo (II)

Nie lubię modern-jazzu. Pochwalam big-beat i nowoczesne malarstwo. Nie rozumiem współczesnej rzeźby. Cenię fotografię. Lubie współczesną prozę, mniej współczesną poezję.

PL — K, Włókiennictwo (IV)

??? — widzi ślepy kulawego!! Nikt nie widzi nic (łącznie z artystami i odbiorcami). Naszej sztuce nowoczesnej przydałoby się porządne, mocne uderzenie. Jedynie korzystnie wyróżnia się zawsze Penderecki.

AM — K, Lekarski (IV)

Sztuka nowoczesna staje się elitarna, mniej komunikatywna, czytelna. Przemawia do wyobraźni. Zmusza do myślenia. (Tym ostatnim różni się od tradycyjnej — moim zdaniem). Podoba mi się.

UL — K, Filologia (III)

Przyjmuję to z mocnym zniecierpliwieniem. Choć niektóre rzeczy są bardzo ciekawe.

UL — M, Prawo (III)

„Sztuka” — tworzyć więcej dla ludzi, mniej dla snobów (chociaż to też ludzie). Rzucając salatkę pomidorową o ścianę też można osiągnąć doskonały efekt plastyczny. To już nie „Młoda Polska”, ale XX wiek.

NR 33.320



Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Wziąłem więc do ręki leżącą w pobliżu książkę, były to Artura Schopenhauera „Aforyzmy życiowej mądrości”.

Na ówczesny mój nastrój taka lektura mi najlepiej odpowiadała. Wreszcie przyszedł sen. Ledwie jednak zmrugałem oczy, dookoła mego domu tupot nóg, silne szarpnięcia drzwi i już przy łóżku moim stało kilku żołnierzy SD z nastawionymi w moją stronę bagnietami. Inni przetrącali do góry nogami każdy zakątek domu, badali każdą książkę, zeszyt, list, każdy świątek papieru. Ubierałem się przy akompaniamencie przekleństw wlasowców, placu matki i siostr. Wychodząc chciałem się jeszcze pożegnać z rodziną, lecz zarobiłem kopniaka. Podeszło mnie głośno „stupa!.. twoją matę”.

Na posterunku miejscowej policji było już kilku moich znajomych. Długo nie zagraliśmy tam jednak miejsca. Po spisaniu personaliów zaprowadzili nas do bunkra. Byli tam Polacy i Białorusini, mężczyźni i kobiety, ludzie różnego wieku i zawodu, robotnicy, kucyki i inteligencja. Wkrótce krzyk „heraus”, drzwi otworzyły się, wyszliśmy. Podwórko policyjne było gęsto obstawione żołnierzami SD. Na widok tak licznej eskorty i tak mi dobrze znanych, szarych, blacha krytych samochodów — zamarłem z przerażenia. Ludzie w tych samochodach byli wywożeni tam, skąd nie ma powrotu: taki był los tysięcy obywateli Białegostoku.

Oficer odliczył sześćdziesięciu czterech. Do samochodu! Żelazne drzwi zamknęły się z trzaskiem. Samochód ruszył. Zaparto wszystkim oddechy, serca przestały bić. Kiedy

samochód skręcił w prawo odefchaliśmy z ulgą. — Bacieczki były już daleko za nami. Mijamy tunele, jeszcze jeden zakręt, samochód staje. Znajdujemy się już na terenie więzienia.

Małeńka, brudna cela, foje pluskiew i wszy, jedenaście łóżek a nas trzydziestu pięciu, osiemnaście dek g chleba i litr rzadkiej zupy — do takich warunków niełatwo się przyzwyczaić. W czasie najbardziej pokojowym ten martwy dom wywiera olbrzymie wrażenie. Trzy olbrzymie mury warowne, trzy wielkie żelazne bramy, ściany metrowej grubości, ciemne, wilgotne cele.

Dzisiaj bez pogardy i wstrętu nie mogę wspomnieć tego więzienia. Tam już nie było filantropii, współczucia, pańskiej wielkoduszności. Pokost inteligencji i kultury opadał z każdego w chwili przekroczenia bramy więziennej. Skrecający kieszki głód przywodził jednostki słabe do tego stopnia upadku o jakim na wolności ludzie w ogóle nie mają pojęcia.

Czas ciągnął się w nieskończoność. Nadszedł wreszcie dzień 23 marca. W administracji więziennej ruch od rana. W celach każdy po swojemu, w milczeniu, czyni może ostatni rachunek sumienia. Na dworze mży deszcz. Widmo śmierci ani na chwilę nie daje spokoju. I ja czuję groźną nam śmierć. Widzę siebie stojącego nad rowem, widzę kolegów i pijanych zbirów gestapo, słyszę warkot motorów, trzask karabinów, jęki.

Stało się jednak inaczej. Maszynowe wagony, liczna eskorta pociąg mknęła szybko, już przekroczyliśmy polsko-niemiecką granicę. Wielu w działo ten krajobraz po raz ostatni, wszystkim jednak pozostała nadzieja, ta sama uparta nadzieja, która

towarzyszyła od pierwszej chwili naszego aresztowania.

W Stutthofie na dworcu, dzieci niemieckie obsypały nas kamieniami. Posypały się razy i od konwojujących nas żołnierzy SS lecz było to tylko przedsmakiem tego, co mieliśmy jeszcze przeżyć. Kiedy weszliśmy do obozu był już zupełnie mrok, pogoda fatalna, północno-wschodni wiatr gdański smagał bez ustannie, niosąc coraz ostrzejsze bryzgi dżdżu.

Na zimnym deszczu staliśmy godzinę, może dwie. Nareszcie wyczytaliśmy nasze nazwiska. Podchodzimy pod barak. Na rozkaz rozbiieramy się do naga, zostawiając wszystkie rzeczy pod drzwiami i kolejno wchodzi do wnętrza. Drzwi powietrznie na oścież, podłoga cementowa tu strzyga, tam goła, a dalej szprycują. Myjemy się w zimnej jak lód wodzie, nacierając się szcokatkami ryżowymi. Marsz! — pada rozkaz. Już trzaska na czyjeś głowie kij. Czym prędzej biegnijmy nago do drugiego baraku. Stąd wychodzimy już nie jako ludzie, lecz jako „haft lingi” każdy z numerem i czerwonym trójkątem na piersiach.

Jesteśmy teraz na kwarantannie. Każdy z nas jest głodny, bity, śpiemy w zimnej jak lód izbie. Pierwszej nocy nikt nie mógł usnąć do rana, które powitało nas przeraźliwym wyciem syreny.

Nastał dzień. Zaczęły się nowe, coraz okropniejsze katusze. Tu stać panowie mecenasi, inżynierowie, technicy, doktorzy! — woła nowy nasz wychowawca „blokowy”, mszcząc się za swa ciemność i własną niewolę. „Mützen ab, Mützen auf! przysiad, bieg, padnij”. Nie ma dnia i chwili wytchnienia. Podeszła śniadania, obiadu apelu, kolacji i pracy wszędzie razy, cięsy, kopniaki.

Praca to największe dobro, to najpiękniejszy wynalazek człowieka! Więźniowie pracowali przy karczowaniu lasów, w fabrykach, kopalniach, przy frontowych fortyfikacjach i Wale Atlantycznym. Pracowali głodni dwanaście godzin dziennie. Za miskę zupy i kęs chleba zabijali ich blokowi. Olbrzymie zbrojownie, podziemne schrony, fabryki i magazyny, cały wojenny przemysł i moc militarna Rzeszy Niemieckiej, wszystko to wyrosło z potu i krwi więźniów — naszych poległych braci.

Wszędzie głód, wszędzie choroby. Ubywało nas codziennie setkami. Padaliśmy jak muchy. 33.320, taki był mój numer w Stutthofie gdzie licba wszystkich więźniów razem, nie przekraczała w maju 1944 r. 7.000 ludzi. Gdzie podziło się 26.320 ludzi? Pochłonęła ich nienasycona garździel krematorium.

Nastał słoneczny dzień dwudziesty czwartego maja, dzień mojego wyznaczenia na transport. Dwudziesty czwartego aresztowano mnie, dwudziestego czwartego wyjazd z więzienia do obozu, dwudziestego czwartego maja znow transport!

Jechaliśmy dwie doby. Już gdzieś w okolicy Gdańska przez szpary nie domkniętego wagonu widzieliśmy na niebie oślepiające światła reflektorów. Szukały one samolotów anglo-amerykańskich.

Buchenwald leży w sercu Niemiec, w Turynghii, w odległości 7 km od Weimaru, tego starego historycznego miasta niemieckiego, gdzie po pierwszej wojnie światowej powstała pierwsza republika niemiecka. Obóz położony jest na 500-metrowym wzniesieniu. Otacza go piękna i malownicza okolica. Często jednak nawiedzają go deszcze i mgły.

W Buchenwaldzie panowały inne stosunki. Tu człowiek nie był czlowiekowi wilkiem. Nie okradał i nie mordował drugiego. Ludzie pozbawieni praw pokazali, że nawet w obozie koncentracyjnym można uczyć się pracy i życia znośniejszego.

W tyglu buchenwaldzkim nie brak było żadnej narodowości. Polacy, Francuzi, Niemcy, Anglicy, Amerykanie, Rosjanie, Rumuni, Węgrzy, Belgowie, Czesi, Luksemburczycy, Jugosłowianie i Żydzi, wszyscy żyli ze sobą w zgodzie i w harmonii. Jednoczyła ich wspólna walka z niewolą i złem. Wszyscy oni kochali wolność i za to byli przez nazistowskich bandytów głodzeni, więzieni. Lecz dzięki solidarności wszystkich więźniów Buchenwald stał się przechowalnią ludzka jak go określił krakowski Żyd, który przyjechał tu z oświęcimskiej mordowni.

Praca nielegalnych komitetów między narodowych i sądów koleżeńskich nie szła na marne. Wiele tysięcy ludzi im zawdzięcza swe życie. Wewnętrzny kierownictwo obozowemu należało się cześć. Jednak kleski Rzeszy pociągnęły za sobą pogorszenie się warunków w obozie. Zaczęli napływać wciąż nowi i nowi więźniowie z ewakuowanych obozów koncentracyjnych: Oświęcimia, Gross-Rosen, Sachsenhausen, i innych. Stan liczebny wzrósł do sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Spaliliśmy na gołej ziemi. Ciężki, wilgotny dwuosobowy barak nie mieścił już teraz tysięcy i więcej ludzi. Królestwo śmierci w Buchenwaldzie powiększało się teraz z każdym dniem. Bandytyzm i ludobójstwo nie należały już do rzadkości. Wykrzywanie handlarzy

ludzkim mięsem stało się coraz częstsze. Krematoria nie nadały z paleniem trupów. Brakowało węgla i koksu. Trupów przybywało wciąż więcej i więcej. O ile jeszcze w styczniu 1945 r. liczba zmarłych wynosiła trzy tysiące ludzi, to w lutym wynosiła ona już ponad pięć tysięcy ludzi.

Nastala wreszcie wiosna, a wraz z nią przyszła tak dawno oczekiwana aliancka ofensywa w głąb Rzeszy Niemieckiej. Komunikaty radio we podawały o zajęciu wciąż nowych miejscowości niemieckich. Po wszechnej radości nie udzielała się jednak mieszkańcom obozu koncentracyjnego. Przed sześćdziesięcioma tysiącami więźniów buchenwaldzkich stało widmo ponurej ewakuacji. Znane były powszechnie metody niemieckiej ewakuacji, przy której ginęło przeciętnie pięćdziesiąt procent więźniów. Więźniów tych pędzono piechotą setki kilometrów. Jesć dostawali raz na dzień, a musieli za sobą ciągnąć wozy z żywnością i z SS-mańskim bagażem.

Niedziela, 8 kwietnia. W godzinach południowych radio obozowe zwała więźniów do natychmiastowego stawiania się na placu apelowym. Ewakuacja, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Na twarzach więźniów odmalowała się rozpacz i rezygnacja. Niecierpliw zaczęli kląć Anglików, Ruski — powiadają — oswoobodziliby już dawno. Głośnik radiowy trząskał od krzyków i nawoływań „Raportführera”. W panice miotają się tysiące ludzi z bloku do bloku, z kata w kata. Na plac apelu wy nikt nie idzie. Słyszeliśmy nieraz o porzuceniu przez Niemców wielkich ilości broni i amunicji — o zostawieniu w spokoju obozu koncentracyjnego nie słyszeliśmy nigdy. „Häftlinga”, świadomego swych celów więźnia politycznego, bali się hitlerowcy najbardziej.

Wlokły się dni. Po nieprzespanej trzeciej z rządu nocy budzimy się w środe rano, wokół panuje nieczym niezmaczona cisza. Czyżby hitlerowcy mieli zaniechać dalszej ewakuacji a reszta, pozostali dwadzieścia jeden tysięcy więźniów wymordować? Czyż naprawdę za mało im było dotychczasowych zbrodni?

Środa, 11 kwietnia, godzina 9 min. 45. Syrena obozowa podaje sygnał ale nie taki jak zwykle, sygnał długi, przeciągły. Z godziny na godzinę, z minuty na minutę oczekujemy rozstrzygnięcia, oczekujemy śmierci. O godzinie 11 wycofują się z obozu wszyscy SS-mani. W godzinę później widzimy już nieliczne grupy uciekających w las SS. Znowu cisza przerywana od czasu do czasu hukami dalekich dział. Nasza tajna radiostacja nadawca woła o pomoc. Mija, godzina, dwie. Coraz wyraźniej słyszemy huk dział, przeplatany co chwila suchym trzaskiem karabinów maszynowych. Może to pro wokacja, czekamy więc dalej. Za chwile zaczyna znikać z widoczki pilnujący nas SS-mani. Nie, to nie jest prowokacja. Kłęby gęstego dymu i płomieni ognia otulają wciąż nowe i bliżej siebie położone wsie. Zbliża się front. Rzucamy się i my do walki. Po godzinie obóz koncentracyjny Buchenwald jest wolny. Niedobitki SS, w liczbie 120 — to nasi jeńcy.

Czwarta po południu witamy zwiadowców armii amerykańskiej. Radości nie ma końca. Nareszcie skończyło się panowanie hitlerowskie, skończyła się niewola. Jesteśmy wolni.

HENRYK POPLAWSKI
były więzień buchenwaldzki

Heroglifami zajmował się Champollion, ale on był od tego specem. A i też miał trudności. Większość ludzi to nie specy od sztuki, ale mimo wszystko chcieliby tę sztukę jakoś trawić, tylko bez abstrakcji.

UL — M, Prawo (III)

Współczesna sztuka jest zrozumiała prawie tylko przez jej twórców. Przeciętny odbiorca jest zaskoczony. Nie rozumie autora. Mój osobisty punkt widzenia odnośnie współczesnych bohomozów: namalował kobietę, która nawet nie jest podobna do doniczki.

UL — M, Biochemia (V)

Słownek do sztuki nowoczesnej — cytuję Szaudyngera: „Triumf współczesnych malarzy: tylek nie różni się od twarzy”.

PL — K, Włókiennictwo (I)

Nie rozumiem tego — to znaczy tej nowoczesności. Wydaje mi się, że kilka barwnych plam np. na kawałku papieru potrafi zrobić każde dziecko i nie trzeba w tym celu kończyć ASP. To bzdura ta nowoczesność. W literaturze ogranicza się ona do braku znaków przestankowych i wtykania gdzie się da ordynarnych słów. Tu jest za mało miejsca, żeby na ten temat obszernie się wypowiedzieć. Proszę zrobić następną ankietę wyłącznie dotyczącą tego zagadnienia. Ale czy mamy wpływ na chore umysły p.p. malarzy, rzeźbiarzy, „pisarzy” itp. panów?!

UL — M, Prawo (III)

Prez z pseudo-sztuką głównie w poezji, niektóre wierszyki nowoczesne np. zamieszczone w „Odgłosach” mogą człowieka zupełnie zniechęcić do nowoczesnej poezji.

UL — K, Filologia (III)

Powieram sztukę nowoczesną w jej różnorodnych formach. Nie powieram pseudonowoczesności w poezji w rodzaju:

Pies siusia
Pies siusia
Pies siusia
Pies siusia
Pies siusia
Pies siusia
Pies wysiusiał się

UL — M, Prawo (III)

Sztuka nowoczesna staje się coraz bardziej elitarna, tworzy się wszelkie wartości dla krytyki, która i tak zbyt wiele nie rozumie, choć stara się poprzez swoje uwagi wpłynąć na szerokie rzesze odbiorców mających nieco inny pogląd niż abstrakcyjne poglądy krytyków. Czyż nowoczesność zawsze musi iść w parze z wyobcowaniem, alienacją i zwyrodnieniem twórców?!

UL — M, Prawo (II)

Nie bardzo podobają mi się nowe formy wprowadzane w sztuce. Bardziej przypadają mi do gustu sztuka stara, gdyż jest bar-

dziej zrozumiała i bardziej zbliżona do rzeczywistości.

UL — K, Geografia (II)

Pozwólmy sztuce na luksus nowoczesności, popatrzmy na nią z wyrozumiałością (może nawet niekiedy z pobłażaniem), ale nie pozwólmy aby w imię nowoczesności kpiono z widza, ze słuchacza, z nas.

UL — M, Prawo (IV)

Nowoczesność w sztuce jest dla mnie jednoznaczna z niezrozumieniem tego co oglądam. Interesuje mnie tylko w sensie „trafił czy nie”. Np. w nowoczesnej rzeźbie czy malarstwie zgaduję co to jest, a później czytam co to jest naprawdę. Rezultat — zawsze pudło.

UL — M, Fizyka (II)

Trochę nie wiadomo jak na to patrzeć, podejrzewam, że niektórzy z artystów nowoczesnych mają zachwianą równowagę psychiczną. Zresztą dużo krzyku o nic.

AM — M, Farmacja (V)

„Nowoczesność” formy w poezji ogranicza się do niezrozumiałego bełkotu, pomieszania stylów — to kontynuacja hasła „Sztuka dla sztuki”, a takie nie może egzystować długo bez odbiorców. Wspaniałym wyjątkiem wśród współczesnych artystów-muzyków jest Krzysztof Penderecki.

AM — K, (V)

Nie jestem tradycjonalistą, lubię wszelkie nowatorstwa, ale bez snobizmu i pozerstwa. Artysta powinien mieć zapewnioną zupełną wolność twórczą, należy zwalczyć stare, dogmatyczne opinie przeszkadzające w tworzeniu. Lubię wszelkie eksperymenty, nie cierpię autorytetu i ubóstwiania. Sztukę każdy winien odbierać tak jak sam chce. Nie powinniśmy mu być narzucane ordynarne krepujące kanony.

UL — M, Historia (IV)

Nowoczesność w sztuce rozumiana właściwie, bez przesostów jest naturalną konsekwencją ciągłego rozwoju sztuki i tworzy harmonię ze współczesnym stopniem rozwoju kultury materialnej. Najbardziej dla mnie do przyjęcia jest nowoczesność w rzeźbie. W obrazach mogą zachwyć czasem zestawienia kolorystyczne, ale poza tym wolałabym, aby posiadały ambicję wyrażania czegoś. Trzeba się jednak pogodzić z tym, że poszukiwanie nowych rozwiązań to konieczność, ratunek przed skostnieniem i martwością.

UL — K, Filologia (II)

Sztuka współczesna to odbicie pedu i różnorodności ery sputników, to świat człowieka zaplątanego w sieć problemów narastających ciągle oraz to ciągle szukanie indywidualności.

PWSSP (II)

Opracowała: EWA SIEMIŃSKA

Moje wspomnienia o Błoku

WIDZIAŁEM BŁOKA

Aleksandra Błoka po raz pierwszy zobaczyłem jesienią 1911 roku. W latach 1911—1912 mieszkał w Petersburgu przy ulicy Suworowskiej. Miałem wtedy siedem lat...

Gdy weszliśmy na chodnik, spotkaliśmy Błoka. Zatrzymał się pod latarnią i rozmawiał z ojcem jakieś pięć minut. Z rozmowy nie zapamiętałem ani słowa. Ale doskonale zapamiętałem jego twarz — była dokładnie taka sama jak na znanym portrecie Somo-wa. Był wysoki i trzymał się prosto, w kapeluszu, w mokrym od deszczu nieprzemakalnym płaszczu, lśniącem w jaskrawym świetle elektrycznym...

— To poeta Błok. Jest zupełnie pijany. Prawdopodobnie tylko dlatego go zapamiętałem, że ojciec powiedział, iż jest on pijany. W naszej abstynenckiej rodzinie nigdy nie zetknąłem się z pijanymi, pijani bardzo poruszali moją wyobraźnię.

Następnym razem ujrzałem go w osiemnastym roku, a potem widywałem go nie raz aż do tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku włącznie. To był zupełnie inny Błok. Wydawało się, że ten Błok, którego widziałem w 1911 roku, nie zachował ani jednej cechy — tak bardzo się zmienił. W niczym nie był podobny do Błoka z portretu Somo-wa. Twarz obrzękła, żółta, sam szeroki, nieruchawy. Trzymał się jak i przedtem prosto, ale otyłe ciało z trudem mieściło się we frenczu, który nosił w tam tych latach. Zresztą widywałem go i w marynarce. Teraz wydawał się wysoki tylko wtedy gdy siedział, kiedy wstawał, sprawał wrażenie człowieka o wzroście trochę wyższym niż średni...

Nieraz słyszałem Błoka recytującego wiersze, to zawsze mną wstrząsało. Pamiętam, jak recytował „Czemuś spuściła oczy w zawstydzeniu?” w tak zwanym Domu Sztuki (Mołka, 59). Było to nieco później — w dwudziestym albo nawet i na początku dwudziestego pierwszego roku. Stał na niewysokiej estradzie, nie było ani stołu ani katedry, cały widoczny dla publiczności i, jak się zdaje, trochę tym zakłopotany. Sali była wspaniała, z rzeźbami na białych ścianach, z kandelabrami o wysokości dwóch ludzi, z nagimi amorkami na plafonie. Błok recytował głuchym głosem, powoli i z trudem, przestępując z nogi na nogę. Jak gdyby szukał słów z wysiłkiem i przebierał nogami, gdy potrzebne słowo nie znajdowało się. Robiło to takie wrażenie, że te przejmujące wiersze powstawały właśnie tutaj na estradzie, w obecności wszystkich.

Pamiętam także recytacje w tej samej sali blokowskich „Dwunastu” — również w dwudziestym roku. Recytowała jednak żona, Liubow Dmitriewna²⁾. Błok był tylko obecny na estradzie... Liubow Dmitriewna recytowała hałaśliwie, teatralnie, wyjąco, to siadając, to wskakując... Błok milczał. Wydawało mi się, że słuchanie było dla niego przykre i żenujące...

O jego śmierci dowiedziałem się w pskowskiej guberni, w Chołomkach, byłym majątku Gagarinów. Płakałem przez cały dzień. Mój przyjaciel i rówieśnik, książę

Pietia Gagarin, który dotąd nigdy nie słyszał o Błoku, zapytał:
— Czy Błok to jakiś twój krewny?

BŁOK I ROSYJSKI DANDYS

Jest w puściźnie Błoka artykuł „Rosyjscy dandysi”, napisany 2 maja 1918 roku. W tym artykule opowiada Błok o tym, jak w czasie pierwszej rewolucyjnej zimy wziął udział w jakimś filantropijnym wieczorze i jak w sali dla artystów zetknął się z jakimś młodym człowiekiem. Błok pisze: „...Panienka poprosiła młodzieńca, by za-deklamował kilka wierszy w tej kameralnej atmosferze.

Młodzieńiec, wcale się nie mizdrząc, zaczął deklamować coś pod tytułem „Tango”.

Słów w utworze nie było, nic nie brzmiało; gdybym nie widział twarzy młodzieńca, nie słuchałbym jego wierszy reprezentujących mieszane futurystycznych pokrzykiwań z symbolistycznym szepczeniem. Ale z prostej i poważnej twarzy recytującego wynikało, że nie trzeba mu żadnej popularności i wystarczy mu to, iż prawdopodobnie ma dziesięć czy dwadzieścia osób, które cenia i zna jego utwory...”

Błok ciągnie dalej:
„Nie było nam po drodze, ale on mnie odprowadzał po to, by mi powiedzieć prostym i spokojnym tonem:

— Wszyscy my jesteśmy draństwo, kość z kości, krew z krwi burżuazja.
We mnie zbudziła się odpowiedź, ale milczałem.

On zaś obojętnie kontynuował:
— Jestem zbyt wykształcony, by nie rozumieć, że tak daleko być nie może i że burżuazja zostanie zniszczona. Ale, jeśli ziści się socjalizm, nas czeka tylko śmieć; na razie nie mamy pojęcia o pieniądzu; na razie mamy być zabezpieczeni i zupełnie nie jesteśmy przygotowani do tego, żeby zarabiać pracą. Wszyscy my jesteśmy narkomanami, palaczami opium; nasze kobiety są nimfomankami. Należy do mniejszości, ale na razie to my mamy wpływ na młodzież; wysmiewamy tych, którzy interesują się socjalizmem, pracą, rewolucją. Żyjemy wyłącznie wierszami; w ciągu ostatnich pięciu lat nie ominałem ani jednego zbiorku. My wszystkich umiemy na pamięć — Sologuba, Balmonta, Igora Siewierianina, Majakowskiego, ale wszystko to stało się już mdłe; wszystko to się skończyło; obecnie, jak się wydaje, przychodzi moda na Erenburga...”

— Czy rzeczywiście nie pana nie interesuje oprócz wierszy? — zapytałem prawie mimowolnie.

Młody człowiek odezwał się jak echo:
— Nic nas, oprócz wierszy, nie interesuje. Przecież my jesteśmy jałowi, absolutnie jałowi.

Mógłbym mu na to odpowiedzieć, że jeśli oni są jałowi, to nie wszystkie wiersze są jałowe; ale nie mogłem tak odpowiedzieć, ponieważ w jego słowach czuło się niewątpliwą, szczerą, jakąś jego własną prawdę...

Pod koniec rozmowy młodzieńiec powiedział Błokowi:
— „To wy jesteście winni, żeśmy tacy.
— Kto — my?

— Wy, współcześni poeci. Zatruliście nas. Czekaliśmy na chleb a wy dawaliście nam kamienie.

Nie potrafiłbym się bronić, nie chciałem i... nie mogłem. Rozstaliśmy się jak obcy, podobnie jak i spotkaliśmy się...”

Dobrze znałem tego młodzieńca, o którym Błok opowiada w swoim artykule. W ciągu wielu lat był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Nazywał się Walentin Josifowicz Stenicz.

Błoka uwielbiał, umiał wszystko na pamięć — trzy tomy wierszy i poematów oraz sztuki. Dla niego Błok był geniuszem, przy tym spośród wszystkich geniuszów ludzkości — najbardziej mu bliskim; kiedy recytował przed kimkolwiek utwory Błoka, często zdejmował okulary, by wytrzeć łzy. Spotkanie z Błokiem było dla niego wyjątkowym wydarzeniem. Aż do końca szczęścił się tym, że Błok napisał o spotkaniu cały artykuł.

— A jednak udało mi się go oszukać — wykrzykiwał patetycznie.

Oczywiście, najpierw nie myślał o oszustwie, liczył na to, że wywoła w Błoku zachwyt. I zaczął od recytowania swoich wierszy. Chodził o to, że Stenicz miał za ledwie dwadzieścia lat — gdyby był starszy, nie popełniłby podobnego błędu. Ale musi się wybaczyć komuś, kto na dwa-

dziesiąt lat, choćby był nawet bardzo mądrym człowiekiem, że uważa swoje wiersze za doskonałe. Gdy zorientował się, że nie wprawi Błoka w zachwyt, zdecydował się na to, by go przynajmniej boleśnie ugodzić. I to mu się udało, ale przy pomocy oszustwa...

BŁOK I GUMIŁOW³⁾

W kwietniu 1921 roku, na trzy miesiące przed śmiercią, ciężko chory Błok napisał zdumiewający artykuł, pełen temperamentu i gniewu, „Bez bóstwa, bez natchnienia”. Ten ostry artykuł polemiczny był w całości skierowany przeciwko Gumilowowi, jego nauce o istocie poezji.

Nie mówi się w nim nic o wierszach Gumilowa. Jedno tylko zdanie świadczy o tym, że jego wiersze Błokowi się nie podobały. Błok pisze: „W wierszach samego Gumilowa było coś zimnego i cudzoziemskiego, co przeszkadzało w ich słuchaniu”. Całe ostrze artykułu zostało skierowane przeciwko Gumilowowi jako teoretykowi poezji.

Na wstępie Błok z niezwykłą wyrazistością przedstawia własne poglądy na rosyjską kulturę i rosyjską poezję.

„Poezja i proza — pisze — zarówno w dawnej Rusi, jak i w nowej, tworzyły jeden nurt, który niósł na swoich falach, niespokojnych ale i silnych, drogocenny ciężar rosyjskiej kultury...”

Podobnie jak nierozdzielne są w Rosji malarstwo, muzyka, proza, poezja, nierozdzielne są od nich i zarazem jedno od drugiego — filozofia, religia, społeczeństwo, a nawet — polityka. One w całości właśnie tworzą jedynolity, silny nurt, który niesie drogocenny ciężar narodowej kultury... Kiedy ktoś zaczyna mówić o „sztuce dla sztuki”, a następnie o rodzajach i kształtach, o „czysto literackich” zadaniach, o szczególnym miejscu, jakie zajmuje poezja itd. itd. — jest to, być może, niekiedy nawet ciekawe, ale nie użyteczne i nieżywy wpływ. Przyzwyczajaliśmy się do żuru, botwiny i blińów, francuska trawa z octem jako oddzielne danie może się podobać tylko smakoszom...”

Potem Błok przechodzi do ostatniego artykułu Gumilowa, zatytułowanego „Anatomia wiersza” i wydrukowanego w zbiorze „Drakon”, który ukazał się na początku 1921 roku.

„N. Gumilow prorokuje: „Poeta jest ten, kto bierze pod uwagę wszystkie prawa, rządzące całością słów, jakimi się posługuje. Ten, kto uwzględni tylko część tych praw, będzie artystą prozaikiem, a nie uwzględniający niczego, oprócz treści słów i ich kojarzenia, będzie literatem, twórcą użytkowej prozy”.

To okropne. Aż dotąd myślano zupełnie inaczej: w poecie powinno być coś uroczystego; poeta musi mieć natchnienie; poeta idzie „drogą swobodną, którą prowadzi go nieskrepowany rozum”; myślenie o wielu innych rzeczach, różnych, niekiedy wzrost przeciwstawnych, ale zawsze — mniej nudnych i mniej sepejnych, niż przytoczone określenie N. Gumilowa.

W dalszym ciągu mówi się o tym, że każdy wiersz należy poddawać analizie z punktu widzenia fonetyki, stylistyki, kompozycji i „ejdologii”⁴⁾. Ostatniego słowa nie rozumiem... Ale wystarczy i trzech pierwszych, żeby narobić bałaganu. Z dalszych słów N. Gumilowa wynika, że „ręcznie wielkie utwory poetyckie”, jak poematy Homera i „Boska komedia” „przestrzegają z jednakową uwagą wszystkich czterech części układu”, „wybitne” kierunki poetyckie — zazwyczaj przestrzegają tylko dwóch, pomniejsze — tylko jednej; jedynie „akmeizm” jako swoja zasada wysuwa „równomierne przestrzeganie wszystkich czterech części”.

Jeśli poniechać gorzkich żartów, robi się smutno, gdyż N. Gumilow i niektórzy inni „akmeiści”, niewątpliwie utalentowani, topią samych siebie w zimnym bloku bezduszych teorii i wszelkiej maści formalizmu; śpią twardym snem bez marzeń; nie mają i nie chcą mieć ani cienia pojęcia o rosyjskim życiu, o życiu świata w ogóle; w swojej poezji (a więc i w sobie samych) oni przemilczają to, co najważniejsze, co wyjątkowo cenne: duszę...”

„Ejdologia!”... Kiedy teraz, po upływie dziesięcioleci, spotykam się z tym dziwnym, niezgrabnym i ciężkim słowem, przypominam głos, który je wymawiał, głos uroczysty i poważny, trochę nosowy, głos Mikołaja Stefanowicza Gumilowa. Przypomi-

nam Gumilowa, jak siedzi na fotelu o wysokim oparciu z rzeźbionego dębu, przysiadając przy stole, wyprostowany, poważny, z lekko skośnymi, surowymi ale dobrymi oczami, jak w kłęczkach papierosowego dymu nieśpiesznie i uroczyście mówi o tajemnicach poezji. Wokół stołu w podobnych fotelach siedzą moi towarzysze seminaryjni, młodzieńcy i dziewczyny w wieku od piętnastu do dwudziestu lat... Już opowiedziałem o tym, jak Błok odwiedził nasze seminarium. Teraz zrozumiałem cel tych odwiedzin. Przygotowywał artykuł przeciwko Gumilowowi.

Sztuce poezji Mikołaj Stefanowicz wyznał szczególnie wysokie stanowisko. Stałe przekazywał całe odczucie, że poezja jest najszlachetniejszym i najważniejszym dziełem ludzkim, a powołanie poety wynosiło ponad inne ludzkie powołania. Słowo poeta wymawiał z francuska — poëte, nie zaś „paet”, jak wymawiała, my, zwyczajni ludzie rosyjscy...

O seminarzach Gumilowa wśród wielbicieli poezji powstało wiele legend, i odcennie chciano się dowiedzieć, co w tych legendach było prawdą, co zaś wymysłem. Szczególnie uporczywa była opowieść o tym, jak to Gumilow zmuszał rzekomo swoich uczniów do robienia wykresów na odpowiednich tablicach i uczył ich pisać wierszy przy pomocy rzucania na te tablice kulki z mięszu chleba. Otóż: były tablice, kulki nie było.

Gumilow wyobrażał sobie poezję jako sumę pewnych mechanicznych chwytów, abstrakcyjnie pomyślanych, nadających się dla wszystkich czasów i wszystkich poetów, niezależnych od losów poszczególnej twórcy, ani od procesów społecznych...

Wiersze, jego zdaniem, mógł pisać każdy, kto opanuje metodę. Kto opanuje wszystkie chwytły, ten będzie świetnym poetą. Żeby łatwiej było te chwytły opanować Gumilow uciekł się do ich systematyzacji. Ta systematyzacja, jego zdaniem, była właśnie teorią poezji.

Twierdził on, że teoria poezji może być rozbita na cztery części: fonetykę, stylistykę, kompozycję i „ejdologię”. Fonetyka bada dźwiękową postać wiersza — rytmy, instrumentację, rymy. Stylistyka bada wrażenia, wywoływane przez słowo w zależności od jego pochodzenia. Według pochodzenia Mikołaj Stefanowicz dzielił słowa rosyjskie na cztery kategorie: słowiańska, atlantycka, bizantyjska i mongolska...

Każdy wiersz każdego poety można wykreślić na tablicy w postaci łamanej linii, której poszczególne odcinki układają się do poziomu, to pionowo, to po przekątnej.

Gumilow twierdził, iż czym lepszy wiersz tym więcej jego różnych elementów zderza się z sobą, co w konsekwencji tym więcej kątów tworzy na tablicy przedstawiającej go linią...

Cała ta „teoria poezji” była naiwną scho lastyką, pedantyczną, antyhistoryczną, przy dominacji średniowiecznej „retoryki”. Aż dziwnie bierze, że podobna martwość pasjonowała ruskiego i namiętnego poetę w tamte burzliwe lata, w okresie ostrego przełomu historycznego. O co chodziło, możecie zapytać. A chodziło o to, że ta naiwna scho lastyka od początku do końca była polemiką, skierowaną:

— po pierwsze, przeciwko wyobrażeniu, że poezja jest wyrażaniem tajemnicy niepowtarzalnej ludzkiej osobowości, lustrem prawdziwej poszczególniej duszy ludzkiej; po drugie, przeciwko wyobrażeniu, że poezja odzwierciedla wydarzenia społeczne i sama na nie wpływa.

W omych latach oba te wrogię Gumilowowi wyobrażenia ze szczególną siłą wypowiedziały się w twórczości Błoka...

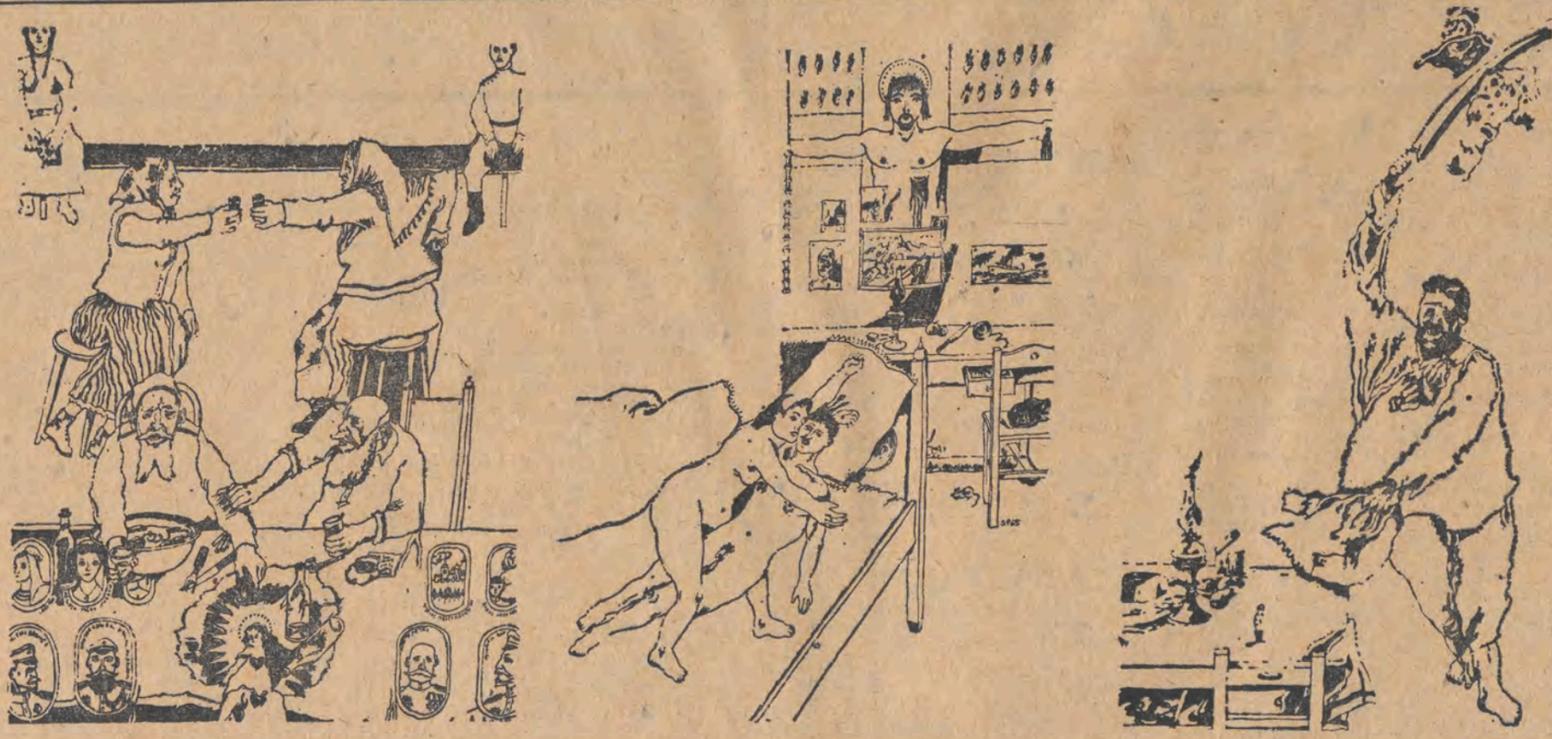
My, ówczesni świadkowie ich walki, dobrze to rozumieliśmy i owe tablice nie były dla nas pozbawione namietności. Rozumieliśmy to i Błok. Przyjął wyzwanie.

Śmiertelnie chory, napisał najbardziej ostry ze swoich artykułów, w którym bronił prawa poezji do wypowiadania ludzkiej duszy, do służenia swojemu narodowi, do walki o jego prawdy i do uczestniczenia w jego cierpieniach.

Thum. J. H.

*) Pisarz rosyjski, 1905—1965, syn Kornieja.
2) Córka wybitnego uczonego rosyjskiego Mendelejewa.
3) Mikołaj S. Gumilow (1886—1921), mąż Achmatowej.
4) Część poetyki, traktująca o obrazowaniu.

Rysunki P. Skacela do „Cichego Donu” — Szolochowa





Rozmowa z Hugues'em C. Pernath'em

Hugues C. Pernath, pisarz belgijski, przebywający w Polsce jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki, odwiedził niedawno naszą redakcję. Korzystając z tej okazji, przeprowadziliśmy z p. Pernath'em krótką rozmowę.

— Co Pana sprowadziło do Polski i, poprzez Warszawę — do Łodzi?

Do Łodzi sprowadziły mnie moje zainteresowania filmowe. Jako poeta i pisarz odkryłem nagle, pewnego dnia, że chciałbym się wypowiedzieć również przy pomocy języka filmowego — najbardziej komunikatywnego języka, który przekracza bez trudu granice języków mówionych...

Najpierw zacząłem się przyglądać pracy z aktorami z bliska w teatrze przy wystawianiu moich przekładów Moliere'a — (Świetoszek, Chory z urojenia, a także — Strażnik grobów F. Kafki). Następnie asystowałem przy filmie kreowanym w Irlandii, potem w Belgii — przy filmach dokumentalnych i telewizyjnych, wreszcie sam napisałem dla TV i zrealizowałem film o Brechcie. Obecnie poszerzam moją wiedzę filmową w zakresie reżyserii i produkcji. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę się przyjrzeć bliżej kinematografii polskiej, która znana jest na całym świecie ze swoich znakomych osiągnięć. Dzięki umowie kulturalnej pomiędzy Polską i Belgią mogłem otrzymać od rządu polskiego stypendium na siedmiodiesięcioletni pobyt w Polsce dla odbycia stażu filmowego. W taki oto sposób znalazłem się tutaj. Chwilowo asystuję przy realizacji „Kapitana Klossa” w reżyserii A. Konica, rzecz bardzo interesująca. Ogromną przyjemność sprawiło mi poznanie S. Mikulskiego, którego przez jedenaście lat nie mogłem zapomnieć z finałowej sceny filmu „Kanał”. Film ten święcił w Belgii wielkie triumfy, a dla mojego pokolenia był wielkim przeżyciem. Rozumiem doskonale, że jako kapitan Kloss Mikulski jest wcieleniem wspaniałych cnót Polaka — patriotyzmu, inteligencji, odwagi... Zostałem przyjęty przez Zespół „Syrena” przez dyrektora atelier na Łąkowej, pana Budzyńskiego i przez całą ekipę realizatorską w sposób niezwykle miły i przyjacielski. Jestem pod wrażeniem świetnej organizacji pracy i sumiennosci całej ekipy, włącznie z wszystkimi pracownikami fizycznymi. Odnoszę wrażenie, że każdy zna swoje zadanie doskonale. Muszę też dodać, że bardzo dobrze czuję się w mieście Łodzi, na każdym kroku spotykam się z wielką życzliwością i gościnnością.

W Polsce literatura belgijska jest na ogół mało znana. Czy zechciałby Pan powiedzieć nam kilka słów na ten temat?

Zacznę od tego że w Belgii używa się dwu języków: języka francuskiego i tego języka, w którym piszę — języka niderlandzkiego. Jest to również język Holandii, a więc w sumie język 5 milionów Flamandów i około 15 milionów Holendrów. Pochodzę z Antwerpii i będę mówił tylko o literaturze flamandzkiej. Zaczęła się rozwijać dopiero w końcu XIX w., jest to więc literatura bardzo młoda, chociaż ma swoje stare i bogate tradycje średniowieczne. Będę też mówił tylko o tych pisarzach, których sam ośobiście cenię i lubię.

Spśród poetów starszych — od kilku lat nieżyjących — wymienię dwu: Paula van Ostaeyen, który odnowił, odświeżył naszą poezję, niedawno — odkryty przez Anglików i przyjaciela jego, Gastona Burssens. Następnie — wciąż u nas niedoceniany wielki mędrzec i samotnik dzisiaj już klasyczny poeta Maurice Gilliam, również autor świetnej prozy Karl Jonckheere — który był w Polsce dla nawiązania kontaktów i zorganizowania akcji przekładowej. Wreszcie Jos de Haes i Paul Snoek. Wśród młodszych jest, jak wszędzie, wielu dobrych i niedobrych poetów, wiadomo bowiem, że „wielu jest powołanych, lecz mało wybranych...”

Proza, powieść... August Vermeylen, od kilkunastu lat nieżyjący. Herman Teirlinck, zmarł w zeszłym roku, jako bardzo stary człowiek, Gerard Walschap, i najważniejszy z nich, dla mnie ośbiście — Louis Paul Boon, wszystko to autorzy powieści psychologicznych, tradycyjnych. Wśród młodszych, trzydziestolatków, Hugo Raes, Gust Gils, Ivo Michiels, Claude Krygelmans, którzy nadają cechy zupełnie nowoczesności naszej literaturze. Ostatni dwaj reprezentują tzw. antypowieść. Jest jeszcze kilku innych — nie mogę wymienić wszystkich z braku miejsca. Zatrzymam się tylko na jednym nazwisku — Hugo Claus. Jest to twórca fenomenalny: ma 38 lat, najlepszy wśród współczesnych poetów, powieściopisarz, dramaturg, autor 10 sztuk, 10 powieści, 5 scenariuszy filmowych, 10 tomów poezji, kilku monografii malarskich. Zrobił film dla TV, a teraz kończy swój pierwszy długi metraż wg własnego scenariusza pt. „Wrogowie”. — W wolnych chwilach maluje. Sądzę, że można z jego nazwiskiem łączyć wielkie nadzieje na przyszłość.

Czy zechciałby Pan powiedzieć nam parę słów o własnej twórczości?

Pierwszy tom wierszy opublikowałem w r. 1958 pt. „Godzina Marata”. Spotkał się z pewnym uznaniem jako zjawisko w pewnym sensie nowe w poezji flamandzkiej, przywracające autentyczną wartość słowom, dawno zużytym... W 1959 — tom pt. „Ja-Odech”. W 1960 — tom pt. „Maska męczynny”. Za ten ostatni tom dostałem Nagro-

dę Arki, (Prix de l'Arche pour La Parole Libre) przyznawaną głównie młodym twórcom, — model arki Noego w srebrze z wypisanym imieniem laureata. Nagroda ta została ustanowiona jako protest przeciwko Nagrodzie Antwerpii, której katolickie jury odmówiło pewnego razu nagrody dla świetnego pisarza ze względu na jego wyznanie... Nagroda Arki ma charakter jak najbardziej liberalny. Jest to nagroda honorowa, uroczystość wręczenia jest połączona z wielkim bankietem...

W r. 1962 wyszły moje „Listy z wojny” — proza poetycka, wypowiedź przeciwko wojnie w formie korespondencji z pewnym żołnierzem. Pierwsza to moja książka wydana w największym wydawnictwie na terenie Holandii i Belgii, w Amsterdamie, w spółdzielni wydawniczej Bezige Bij („Pracowita Pszczoła”). Jej założyciel, Geert Lubberhuizen, jest postacią bardzo znaną, działał aktywnie w prasie podziemnej w czasie okupacji, a był tak niezmordowany w swojej działalności, że przeżył go w podziemiu pracowita pszczoła, stąd nazwa spółdzielni. Jest to ogromne przedsiębiorstwo (każdy autor staje się jednocześnie współdziałowcą), wydaje w przekładach najlepszych pisarzy wszystkich kontynentów, popiera wszystkich, co postępuje i awangardowe.

W 1964 w tymże wydawnictwie w Amsterdamie wyszły moje pierwsze trzy tomy wierszy w wydaniu kieszonkowym pod zbiorowym tytułem

HUGUES C. PERNATH

Z cyklu:

Mój modlitewnik

W cieniu wybranego wyrosłem nie służąc
Nikomuz wzorem, nie biorąc wzoru cudzego.
Poznałem każdy dzień kwietnia
Jego chmury
Ptaki nad moim miastem,
Rany zadane nadzieją pragnieniem,
Wszystko co człowiekowi przynależy.

Wiedziałem poznałem w resztę
Nie wierzyłem.
Po dniu rozumiałem noc,
Życie rozumiałem wyznaczony mi obowiązek
Innym darowane na zawsze,
Mowę rozumiałem każdą i żadną.
Nie.

Stworzyłem własne pojęcie bólu
Wiedząc kto upadł, kto wznosił się do góry.
Tak oto odkrywałem formułę,
Słowo, kult, początek wszystkiego
I żyłem w zdumieniu, w zdumieniu sam
Lecz całkowicie, dopełniony
Uwierajacym niepokojem,
Może odważą
Samotnych.

1964, Antwerpia

TLUMACZYŁA: ARIADNA DEMKOWSKA

„Instrumentarium na zime”. I jeszcze jeden tom w tym samym wydawnictwie, w roku 1966 pt. „Słowa rozdane”. Od kilku lat piszę powieść, wciąż ją zmieniam i poprawiam.

A teraz może kilka słów o projektach na przyszłość?

Chciałbym w mojej twórczości dać wyraz stanowisku, jakie zajmuję wobec zjawisk, które u nas nazywa się jednym słowem: spellmanowskie (od kardynała Spellmana). To znaczy — hipokryzji, bezwzględności, polityce siły i przemocy. Pięć też duży poemat o Oświęcimiu. Prześtudiowałem bogatą dokumentację na temat zbrodni wojennych i sądzę, że będę mógł ją uzupełnić w czasie mego tutaj pobytu, przede wszystkim na terenie samego obozu. Zresztą — muszę przyznać, że w Polsce pomimo upływu czasu czuję się na każdym kroku niedawna przeszłość tzn. ostatnią wojnę. W oczach cudzoziemca wspaniale rozwijające się życie, rozkwita na grobach — to się widzi — a że z taką mocą dokonuje się śmierci i zniszczenia — to jest wspaniałe.

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

Reymont W ŁODZI



Wł. St. Reymonta miałem sposobność poznać ośobiście w styczniu 1919 r. w Warszawie, w dawnym pałacu Potockich, przy ul. Krakowskie Przedmieście 15. Frontową część lewego skrzydła tego pałacu zajmowała filia księgarni Gebethnera i Wolffa. Pierwszy, ogromny pokój mieścił sortyment polski, drugi, mniejszy — dział zagraniczny i sprzedaż pism w obcych językach, dalej w głębi mieściło się biuro firmy, a na pierwszym piętrze — dział nut.

W tym czasie, a było to zaledwie w dwa miesiące po kapitulacji Niemiec wilhelmskich, filia Gebethnera & Wolffa otrzymywała codziennie, z początku poczta lotnicza w workach, później koleją, gazety i periodyki zagraniczne. Pisma te były wielką atrakcją dla kulturalnych mieszkańców stolicy, dostarczały najnowszymi wiadomościami z Zachodu, za nim jeszcze nasz kraj, który dopiero co odzyskał niepodległość zdążył rozbudować własne agencje telegraficzne.

Hotele „Bristol” i „Europejski” za jęte były przeważnie przez różne zagraniczne misje wojskowe, licznych dyplomatów i dziennikarzy, więc do księgarni odbywała się codzienna procesja po te pisma codzienne i periodyki, których zawsze było za mało.

Z wybitnych osobistości, których nazwiska były później głośne, na całym świecie, a której co dzień ośbiście odbierały gazety, pamiętam: Monsignora Achillesa Ratti, później szego papieża, mieszkającego w Warszawie, w pałacu biskupim przy ul. Książęcej, majora Clementa Attlee z brytyjskiej misji wojskowej, późniejszego premiera Anglii, Stefana Lauzanne, nac. redaktora dziennika „Le petit Parisien”, majora Roberta Boucarda, szefa francuskiej informacji prasowej i Władysława Reymonta, któremu nie śniło się jeszcze wówczas o nagrodzie Nobla. Reymont przychodził w tym czasie dość często do księgarni odwiedzać przede wszystkim swoich starych znajomych tj. dyrektora księgarni Jana Nowickiego, którego tytułował poufale „panem Janem” i Zygmunta Bartkiewicza, autora „Złego Miasta”, który podówczas pracował w tej księgarni w charakterze skromnego urzędnika, w dziale sprzedaży ratalnej. Przy sposobności przeglądał Reymont pisma francuskie, w szczególności „Matin” i tygodniki humorystyczne, jak: La vie Parisienne, Le Rire, Le Sourire Fantasio.

Reymontowi przedstawił mnie Zygmunt Bartkiewicz, który darzył mnie serdeczną przyjaźnią. Ten znacznie ode mnie starszy pan, siwy jak gołąbek, noszący skromną czarną czamare, zwierzał mi się ze swoich przeżyć i opowiadał o swych planach na przyszłość. Często stawaliśmy się wzajem francuskimi papierosami „Caporal” i wspólnie komentowaliśmy wiadomości i wy-

darzenia, które podawały codzienne pisma francuskie.

Z Reymontem miałem sposobność rozmawiać kilkakrotnie, czy to w towarzystwie Bartkiewicza, czy też Jana Nowickiego, a pewnego razu byłem mimowolnym świadkiem zabawnej sceny jaka miała miejsce między autorem „Ziemi Obiecanej”, a młodą panną, sprzedającą w księgarni pisma francuskie. Reymont kupił jakiś francuski dziennik, po czym wybrał kilka francuskich tygodników i rzekł do sprzedawczyni:

— Pożyczam te pisma do jutra...
— Ależ proszę pana — zaproponowała piękna sprzedawczyni — te pisma są przeznaczone dla stałych abonentów. Nie mogę ich wypożyczyć!

— Daję pani słowo, że zwrócę jutro rano.

— Ale ja pana nie znam.

— No, to chodźmy do dyrektora.

Wkrótce zjawił się dyrektor Nowicki, który oświadczył sprzedawcej:

— Może pani te pisma pożyczyci, to jest pan Reymont.

— Bardzo panów przepraszam, ale ja nie wiedziałam, że to jest pan Reymont. Ten pan mi się nie przedstawił — rzekła skonfundowana, a jej piękne policzki okraślił rumieniec zażenowania.

Reymont był średniego wzrostu i dobrej tuszy. Nosił czarny garnitur i czarne palto. Miał krótki, perkaty nos, na nim osadzone binokle, które dość często przecierał irchową skórką. Na średnie, dość piaskie czoło spadały mu ciągłe pukle ciemnych włosów z bujnej czupryny, które często zagarniał palcami w górę. Miał bardzo żywe usposobienie i był z natury bardzo wesoły.

W stułetnią rocznicę urodzin autora „Chłopów”, licznych czytelników naszego pisma zainteresują ciekawe szczegóły z pobytu Reymonta w Łodzi. Szczegóły te opowiedział mi przed laty, zmarły niedawno senior księgarzy polskich Juliusz Goźliński, który przez wiele lat pracował w Łodzi i zmarł tu w 93 roku życia. Goźliński z ramienia warszawskiej firmy Kerntopfa, fabrykanta fortepianów, urządził w roku 1896 koncert I. J. Paderewskiego dla „świata pracy”. Koncert odbył się w sali dzisiejszego kina „Bałtyk” przy ulicy Narutowicza, a w nagrodę za dobre przygotowanie koncertu otrzymał od Paderewskiego srebrny zegarek z dedykacją: „Juliuszowi Goźlińskiemu I. J. Paderewski”.

W tymże roku 1896, kiedy Goźliński pracował w księgarni Gebethnera & Wolffa w Łodzi w charakterze kierownika, zgłosił się doń pewnego dnia bardzo skromnie ubrany człowiek z listem od łódzkiego poety, Artura Głiszczyńskiego. Głiszczyński gorąco polecał Goźlińskiemu Reymonta, nadmienając, że Reymont znajduje się w trudnych warunkach materialnych i jest dosłownie bezdomny. Goźliński mieszkał wówczas przy ulicy Wschodniej 50, gdzie dziś wmurowana jest tablica pamiątkowa. Przyjął Reymonta bardzo serdecznie, a mając większe mieszkanie, zaofiarował mu bezinteresownie pokój u siebie, z którego Reymont skwapliwie skorzystał. Reymont mieszkał u Goźlińskiego prawie 7 miesięcy i prowadził prawdziwie cygański tryb życia. Najwięcej przesiadywał w różnych kawiarniach i restauracjach, w szczególności w restauracji i kawiarni „Hotelu Victoria”, gdzie zbierała się brać artystyczna i literacka. Często przebywał tam Reymont w towarzystwie Głiszczyńskiego, J. Garlikowskiego, Nullusa, Fromma i innych. Do domu wracał stałe dopiero późną nocą i wtedy, paląc papierosy bez przerwy, zabierał się do pisania. Pisał kilka godzin, po czym spał do południa i wychodził do miasta. Był z natury bardzo żywy, wesoły i dowcipny i przez te zalety charakteru, był ogólnie lubiany. Dał też opowiadać mi Goźliński, że zawsze się dziwił jak Reymont dawał sobie radę w Łodzi, bo bardzo często chodził bez grosza, a jeśli dość często pożyczal do Goźlińskiego „ru belka albo dwa” na kilka dni, to prawie zawsze dług punktualnie oddawał.

Gdzie dziś jest kino „Polonia”, tam był w tym czasie prywatny teatr, kawiarnia i restauracja, tam koncentrowało się życie artystyczne i literackie Łodzi u schyłku XIX wieku, tam najczęściej przebywał Reymont w towarzystwie aktorów i literatów. Jako autor był wówczas jeszcze mało znany.

Po opuszczeniu Łodzi, gdzie zbierał materiał i notatki do „Ziemi Obiecanej”, powrócił Reymont do Warszawy, a następnie wyjechał do Paryża.

Tak oto wyglądał i żył w Łodzi Reymont, w relacji Juliusza Goźlińskiego, który mi kiedyś opowiadał nie tylko o autorze „Chłopów”, ale i o swej 50-letniej pracy księgarskiej w Łodzi.

„Szkłana menażeria”

Natury proste, dobre i wrażliwe, gdy los je zawładnie lub upośledzi — uciekają ze swymi kompleksami w odosobnienie. Powoli ze zgiełku i okrucieństwa świata rzeczywistego usuwają się w świat marzeń.

Ten świat kreują pieczołowicie, lokując w nim zarówno swoje zawody jak i nadzieje. Kreowanie światów to przepyszna zabawa bogów, artystów i dzieci. Zabaw bogów nikt dzisiaj nie bierze poważnie, zabawy artystów mają praktyczny wydźwięk, a dzieci wyrastają z tego.

Smutek zaczyna się dopiero, gdy ktoś nie będąc artystą lub dzieckiem stwarza jakiś dziwny i niczemu nie służący światek i kryje się w nim przed prawdziwym. Nasze współzycie jest szczerze i zdrowe. Nie bowiem bardziej zalosnego, niż był wykreowany przez watał wyobraźnię, przeciwko życiu.

Oto „Szkłana menażeria”.

Laura (Mirosława Maludzińska) jest kaleką; los ją upośledził. Jej matka Amanda (Hanna Bedryńska) jest starzejącą się kobietą ze śladami piękności, ze wspomnieniami kobiecych sukcesów i nieustająca pamięcią o uroczym, lecz lekkomyślnym mężu, który przed laty odjechał, by więcej nie wrócić. Amanda zawiódł los. Tom (Andrzej May) to młodszy brat Laury, pracuje w magazynie z obuwiem i jest żywiołem rodziny los go ani nie upośledził, ani jeszcze nie zawiódł — on stał się ofiarą (żeby raz skończyć z tym losem) stosunków społecznych, nie stać go na heroicz-

na rezygnację, nie potrafi ofiarować swego życia tym dwóm, obcym mu w gruncie rzeczy, światom: — matce żyjącej wspomnieniami przeszłości i siostrze — karmiącej się iluzją.

Dramat się zaczyna. Andrzej May wchodzi na scenę jako Tom, który już opuścił matkę, siostrę i magazyn z butami. Uciekł w świat rzeczywisty, bo duszno mu było w szklanej menażerii, ale też nabawił się kompleksu: nie opuszcza go obraz kulejącej siostry.

Tak więc narrator (Andrzej May) wprowadza nas w smutne sprawy trojga różnie nie-szczęśliwych ludzi i odchodzi, by stać się jednym z nich, jednym z tych, którzy żyli w latach trzydziestych w Południowej Ameryce. Mi mo oddalenia w przestrzeni i czasie wzruszenie jest nam bliskie i ludzie są bliscy — nawet zdarzenia.

Jesteśmy w środku jednego z nieudanych żywotów, których tak wiele. Teatr. Każdy kreuje swój świat jak może, Laura ma zwierzątko ze szkła, Amanda wspomnienia krótkotrwałych sukcesów i krótkotrwałej miłości.

Tom jest więźniem spętanych wstążkami krwi. On chce żyć i ma dość sił, by zerwać te wstążki. Jego problem, to wybór między życiem tych dwóch bezradnych kobiet, a własną przyszłością. W partiach rezygnacji i buntu May jest przekonujący. Raz po raz ujawnia bez fałszywego patosu wrażliwość i poetyckość natury, niezdarnie pokrywana młodzieńczą szorstkością i oschłością. Monolog

narratora, w wykonaniu tego młodego, rozwijającego się aktora, brzmi mniej prawdziwie. Wiedza o goryczy celów osiągniętych kosztem rezygnacji z irracjonalnych nawet poświęceń, jest u narratora za watał w porównaniu z wiedzą Toma o buncie.

Nasze współzycie dla osób dramatu, najoślej rzecz biorąc, dotyczy losu człowieka w ogóle. Może dlatego dramat Laury, dramat najmniej zawiniony, najbardziej wrzucza i najczęściej stawia się go jako problem centralny. Moim zdaniem, niezależnie od sugestyjności tragicznej i znakomitych możliwości kreacyjnych jakie ta rola stwarza. Laura nie jest spiritus movens dramatu.

Miałem to szczęście, że przed dwudziestu laty widziałem Laurę w wykonaniu Zofii Mrozowskiej w Teatrze Kameralnym w Łodzi. Z całego przedstawienia pozostała w mojej pamięci dziewczyna smutna i krucha, zamknięta w sobie i nagle rozkwitająca kryształowym czarem lirycznej egzaltacji. Zawsze ta dziewczyna pojawia się w mojej pamięci: w otoczeniu szklanych zwierzątek.

Mirosława Maludzińska przypomina mi tę dziewczynę, chociaż widać wypiek niała przez te lata, tracąc rytm małych konkretów i Laura ucieleśniona na deskach Teatru Nowego wydała mi się nieco inna. Nie jej to zapewne wina, lecz wyobraźni, która upiększa każdy obraz przeszłości, jeżeli nie był zdecydowanie niemiły, Tennessee Williams w „Szkłanej menażerii” nie epatuje namietnością i seksem jak w innych swych sztukach. Williams tworzy świat snu i marzeń, w którym bardziej brutalne tony są mało słyszalne; jest delikatny. Nosicielem tej delikatności, bez mała kruchości jest Laura. Nastroj mazar towski koncertów od niej płynie. Maludzińska każdym gestem, pochyleniem ciała, kąś jest nam wierzyć, że Laura jest kaleką a kompleksy tłumia jej wewnętrzną światłość. Ale to światło kruche go szkła cały czas winno migotać aż do pełnego łasku w scenie z Jimem. Niezmiernie piękna i trudna rola, z której Maludzińska wyszła bez szwanku.

Potwierdzeniem hipotezy, że wyobraźnia upiększa każdy obraz przeszłości, jeżeli nie był zdecydowanie niemiły, jest „mitomania” Amandy.

Williams w żadnej ze swoich sztuk nie jest filozofem, ani wyrafinowanym esteta, ale to dobry „małster” i psycholog. Nie wydaje się, aby w jego zamierzeniu Amanda miała wzbudzać politowanie. Nie wydaje się różnie, że jej dziwactwa, manierki, megalomańskie wyowiedzi, głupawe aranzacje i



Mirosława Maludzińska — Laura i Zbigniew Józefowicz — Jim

odzywkę przyciemniały najistotniejsze rysy jej osobowości i główny motor postępowania — rozumienie przeżyć i kompleksów córki; lek o jej przyszłość popychał Amandę do tyranii. „Niedzielskość” postępowania wobec dzieci, fumi i mizdrzenia nie mogły zbytnio ośmięcać Amandy i czynić z niej idiotki, gdyż są to w gruncie rzeczy rozpaczliwe zabiegi kochającej matki, co w rodzaju terapii wstrząsowej wobec dziecka, zarubionej córki. W podobny sposób są śmiech do płaczącego dziecka, tylko, że nie tragiczny.

Sadzę, że pewne przerysowanie postaci Amandy w erotyzmie, w bujnej antytezie Laury, mogło po części wynikać z założeń reżyserskich, a po części z warunków scenicznych Hanny Bedryńskiej. Wspominki Amandy o sukcesach erotycznych nie budziły wątpliwości, ba, seks i wdzięk matki napawały obawą, że Jim (Zbigniew Józefowicz), „pannie ofiarą” Amandy, a nie jej córki Laury. Sytuacja nieco dwuznaczna, na jednakże sprawdzalna życiowo. Tak też być może. Wcale nie jestem taki pewny, czy sam wielki erotoman Williams nie złożył tu „pewnego luzu interpretacyjnego, wiedząc zapewne, jak często matki — swatki podobne są, zalednicom, mimo że kierują się najszczerzymi intencjami i miłością do płaczącego dziecka, tylko, że nie tragiczną.

W „Przygodzie” Claudie od początku filmu otacza atmosfera erotycznego. Wycieczka jachtem, spotkania towarzyskie są tylko pretekstem dla nawiązywania kontaktów miłosnych. To samo w „Nocy” czy w „Czerwonej Pustyni”. Sekwencja tańca mulatki w „Nocy” charakterystycznie odbiła ową podmięty jakimś otacza człowieka współczesny styl życia, przemysł rozrywkowy. Świat dzisiejszy, świat Antonioniego nasycony jest erotyzmem. Jest to świat, używając określenia KTT „bez grzechu”. Wszystko w nim wolno lecz też wszystko pozbawione jest znaczenia. Akt miłosny traci swą autentyczność, swój sens (final „Nocy”).

Kobiety u Antonioniego są znacznie bardziej złożone psychicznie, wrażliwsze, obdarzone bogatszym życiem wewnętrznym niż mężczyźni. Są widziami raczej. Nie uczestniczą czynnie w rzeczywistości cudu gospodarczego. Ta bierność jest zresztą znamieną dla sytuacji kobiet we Włoszech, ale pozwala im zachować niezależność duszy. W owym „świecie bez grzechu” bohaterki Antonioniego reprezentują nadto ideały dość tradycyjnych cnót. Przygoda oznacza dla nich miłość, są wierne, (Lidia z „Nocy”), nie chcą rozbić małżeństwa (Valentina z „Nocy”), zdrada jest dla nich katastrofalnym przeżyciem („Czerwona Pustynia”). Ich najważ-

dy o sukcesach erotycznych nie budziły wątpliwości, ba, seks i wdzięk matki napawały obawą, że Jim (Zbigniew Józefowicz), „pannie ofiarą” Amandy, a nie jej córki Laury. Sytuacja nieco dwuznaczna, na jednakże sprawdzalna życiowo. Tak też być może. Wcale nie jestem taki pewny, czy sam wielki erotoman Williams nie złożył tu „pewnego luzu interpretacyjnego, wiedząc zapewne, jak często matki — swatki podobne są, zalednicom, mimo że kierują się najszczerzymi intencjami i miłością do płaczącego dziecka, tylko, że nie tragiczną.

Sadzę, że pewne przerysowanie postaci Amandy w erotyzmie, w bujnej antytezie Laury, mogło po części wynikać z założeń reżyserskich, a po części z warunków scenicznych Hanny Bedryńskiej. Wspominki Amandy o sukcesach erotycznych nie budziły wątpliwości, ba, seks i wdzięk matki napawały obawą, że Jim (Zbigniew Józefowicz), „pannie ofiarą” Amandy, a nie jej córki Laury. Sytuacja nieco dwuznaczna, na jednakże sprawdzalna życiowo. Tak też być może. Wcale nie jestem taki pewny, czy sam wielki erotoman Williams nie złożył tu „pewnego luzu interpretacyjnego, wiedząc zapewne, jak często matki — swatki podobne są, zalednicom, mimo że kierują się najszczerzymi intencjami i miłością do płaczącego dziecka, tylko, że nie tragiczną.

W „Przygodzie” Claudie od początku filmu otacza atmosfera erotycznego. Wycieczka jachtem, spotkania towarzyskie są tylko pretekstem dla nawiązywania kontaktów miłosnych. To samo w „Nocy” czy w „Czerwonej Pustyni”. Sekwencja tańca mulatki w „Nocy” charakterystycznie odbiła ową podmięty jakimś otacza człowieka współczesny styl życia, przemysł rozrywkowy. Świat dzisiejszy, świat Antonioniego nasycony jest erotyzmem. Jest to świat, używając określenia KTT „bez grzechu”. Wszystko w nim wolno lecz też wszystko pozbawione jest znaczenia. Akt miłosny traci swą autentyczność, swój sens (final „Nocy”).

Kobiety u Antonioniego są znacznie bardziej złożone psychicznie, wrażliwsze, obdarzone bogatszym życiem wewnętrznym niż mężczyźni. Są widziami raczej. Nie uczestniczą czynnie w rzeczywistości cudu gospodarczego. Ta bierność jest zresztą znamieną dla sytuacji kobiet we Włoszech, ale pozwala im zachować niezależność duszy. W owym „świecie bez grzechu” bohaterki Antonioniego reprezentują nadto ideały dość tradycyjnych cnót. Przygoda oznacza dla nich miłość, są wierne, (Lidia z „Nocy”), nie chcą rozbić małżeństwa (Valentina z „Nocy”), zdrada jest dla nich katastrofalnym przeżyciem („Czerwona Pustynia”). Ich najważ-

dy córce z „sommnambulizmu”, a matkę uzbiera w wachlarz, suknie z wcześniejszej epoki i uśmiech czarownicy. Zbigniew Józefowicz jest swobodny. Bedryńska pełna zamierzonego, straussowskiego wdzięku, May szczerze ponury, a Maludzińska wzruszająca co przerażona.

Henri Poulain oprawił tę smutną opowieść o ludzkim zagubieniu, bezradności sprzetów, szarością dekoracji, chyba nie tylko dla podkreślenia mieszczańskiego podłoża tragedii. Światła nie potrzebował zbyt wiele, ale przestrzeni przydałoby się więcej (niestety scena), choć by dla stworzenia większej swobody sytuacyjnej.

Tennessee Williams — „Szkłana menażeria”. Reżyseria Witold Zatorski. Scenografia: Henri Poulain. Teatr Nowy.

MARIA KORNATOWSKA

A propos „NOCY”

„Jakaś pewność musi przeciwieństwie: jeżeli nie kochać prawdziwie, to przynajmniej nie kochać wcale”. W tych słowach poety, Dylana Thomasa, zawrzeć można przewodnią myśl tetralogii Antonioniego, której częścią drugą „Noc” wchodzi właśnie na nasze ekrany z 7-letnim opóźnieniem, a której częścią pierwszą — „Przygodę”, trzecią — „Zacmienie” i czwartą „Czerwoną Pustynię”, mieliśmy już możność poznać wcześniej. Miłość stanowi zasadniczy przedmiot zainteresowań Antonioniego i dlatego niektórzy uważają jego filmy za banalne. Miłość jako temat sztuki jest rzeczywiście banalna. Traci swą banalność w konkretnym, jednostkowym doświadczeniu.

Uiarło się przekonanie, iż Antonioni ukazuje niemożność miłości, niemożność porozumienia się jako stan egzystencjalny, zdeterminowany przez samą naturę ludzką. Wydaje się jednak, że rozważania Antonioniego dotyczą nade wszystko współczesności i to współczesności określonej geograficznie. Włoski reżyser osadził swoje filmy w bardzo włoskich realiach.

W kinematografii włoskiej modne są obecnie satyryczne rozrachunki z mitem tzw. lacińskiego kochanka, czyli, mówiąc precyzyjnie, Włocha jako ideału don Juana, któremu żadna kobieta oprzeć się nie zdoła, a który je zostawia, hurtem i detalicznie uszczęśliwia. Z tej serii oglądaliśmy u nas „Sza-

tana” Polidoro, który z owym mitem w sposób zabawny a nieszkodliwy próbował się rozprawić. Antonioni potraktował jednak rzecz na serio. I nikt chyba tak ostro jak on i tak precyzyjnie nie zaatakował modelu lacińskiego kochanka, modelu przeciętnego Włocha.

Tetralogia Antonioniego stanowi wiernie zwierciadło włoskich obyczajów. Zasadniczą wspólną cechą jej męskich bohaterów jest ich egoizm i niedojrzałość uczuciowa. Tę niedojrzałość przejawia zarówno Sandro — bohater „Przygody”, jak i pisarz z „Nocy”, jak i mąż z „Czerwonej Pustyni”. Bohaterowie Antonioniego odznaczają się jeszcze jedną typową dla przeciętnego Włocha cechą — stałą gotowością do nawiązywania przygód erotycznych, pozbawionych właściwie jakiegokolwiek głębszego znaczenia. Przykładem chociażby spotkanie Mastroianniego z nimfomanką w „Nocy”. Nie istnieje tu chwilami nawet moment wyboru ze strony mężczyzny (przygoda z prostytutką w „Przygodzie”). W tej sytuacji kobieta traktowana jest nie jako partner w miłości, ale jako przedmiot zabiegów erotycznych.

I tu zaczyna się właśnie dramat kobiety Antonioniego. Bohaterowie tetralogii reprezentują różne zawody i środowiska: architekt, pisarz, makler giełdowy, inżynier. Ale wszyscy wprzęgnięci są w rytm współczesności, nie zostawiają marginesu dla wyboru, indywidualności, niezależności. Są niewolnikami świata dobrobytu, który współtworzą i z którego korzystają. Ich zawody są w gruncie rzeczy bardzo znamienne. Godard powiedział niedawno, że „we współczesnym społeczeństwie przemysłowym prostytutką jest stanem normalnym. Prostytutką jest urzędnik bankowy, urzędnik pocztowy i reżyser filmowy. Wszyscy”. Otóż bohaterowie Antonioniego prostytutują się, po-

nieważ sprzedają się po prostu za pieniądze. Uczyni to także pisarz z „Nocy”, podobnie jak zrobił to już Sandro z „Przygody”. I to rozumie także na ich życie uczuciowe, postawę moralną w ogóle. Okazuje się, iż w kraju o tak specyficznej moralności jak Włochy, industrializacja, głębokie przeobrażenia techniczno-socjalne nie modernizują obyczajowości, ale jeszcze bardziej pogłębiają tkwiące w niej sprzeczności i hipokryzję.

W „Przygodzie” Claudie od początku filmu otacza atmosfera erotycznego. Wycieczka jachtem, spotkania towarzyskie są tylko pretekstem dla nawiązywania kontaktów miłosnych. To samo w „Nocy” czy w „Czerwonej Pustyni”. Sekwencja tańca mulatki w „Nocy” charakterystycznie odbiła ową podmięty jakimś otacza człowieka współczesny styl życia, przemysł rozrywkowy. Świat dzisiejszy, świat Antonioniego nasycony jest erotyzmem. Jest to świat, używając określenia KTT „bez grzechu”. Wszystko w nim wolno lecz też wszystko pozbawione jest znaczenia. Akt miłosny traci swą autentyczność, swój sens (final „Nocy”).

Kobiety u Antonioniego są znacznie bardziej złożone psychicznie, wrażliwsze, obdarzone bogatszym życiem wewnętrznym niż mężczyźni. Są widziami raczej. Nie uczestniczą czynnie w rzeczywistości cudu gospodarczego. Ta bierność jest zresztą znamieną dla sytuacji kobiet we Włoszech, ale pozwala im zachować niezależność duszy. W owym „świecie bez grzechu” bohaterki Antonioniego reprezentują nadto ideały dość tradycyjnych cnót. Przygoda oznacza dla nich miłość, są wierne, (Lidia z „Nocy”), nie chcą rozbić małżeństwa (Valentina z „Nocy”), zdrada jest dla nich katastrofalnym przeżyciem („Czerwona Pustynia”). Ich najważ-

niejszym celem, sensem życia jest miłość. Claudia z „Przygody” to niedoświadczona, pełna złudzeń dziewczyna. Ale to co dla niej ma być jedyną miłością, dla Sandra stanowi tylko przygodę. Claudia dopiero w finale przeżyje swego kochanka i we właściwej perspektywie zobaczy własne uczucie. W „Nocy” mamy dwie bohaterki, z których każda, na dobrą sprawę, stanowi może kontynuację losu Claudii. Valentina ma już za sobą jakieś rozczarowania, a co za tym idzie dystans, i nie daje się łatwo wciągnąć w przygodę. „Noc” stanowi właściwie wielki monolog Lidii, dla której piękna miłość jest kłosem całego życia, przekreśleniem przeszłości, wszystkiego. Lidia ubolewa nie tyle nad tym, że miłość przemienia, ile nad tym, że była ona w ogóle nieporozumieniem, kłamstwem niemal. Nagle zobaczyła swego męża i nagle zrozumiała, że nie tego oczekiwała od swojej miłości. Wspomnienia Lidii o Tomasie znakomicie charakteryzują jej postawę — typowej Włoszki, która pragnie być prowadzoną, kierowaną i duchowo adorowaną przez mężczyznę.

Vittoria z „Zacmienia” jest w tym kontekście jedyną kobietą naprawdę nowoczesną. Jest niezależna, pracuje. Ona jedna jest równorzędnym partnerem w związku z mężczyzną. Ma też znacznie swobodniejsze obyczaje i zarazem świadomość swego postępowania. Potrafi wybrać własną drogę nawet jeśli ma to być droga bez miłości. Vittoria stanowi logiczną kontynuację postaci Valentyny z „Nocy”. Mogłaby być też Lidia, która zdołała się na niezależność. Zatem droga kobiety do pełnej emancypacji uczuciowej, obyczajowej, społecznej. Droga gorzka, ale konieczna w społeczeństwie gdzie kobiety, za pełnym jej przyzwoleniem, traktuje się w przeważającej ilości przy-

padków jako przedmiot, gdzie dopiero poprzez mężczyźnę kobieta zdobywa jakąś wartość i pozycję. Siadacza formalność wielu związków małżeńskich i nie tylko małżeńskich. Bohaterka „Zacmienia” jest na tyle wyzwolona, że stać ją na zerwanie związku, który mógłby być tylko formalnym. „Zacmienie” stanowi więc niejako ukoronowanie i zamknięcie „Przygody” oraz „Nocy”.

Ale po „Zacmieniu” Antonioni zrobił jeszcze „Czerwoną Pustynię”. Giuliana — bohaterka tego filmu jest postacią dwuznaczną. Z jednej strony przypomina Vittorię, powtarza podobne zdania. Czyżby Vittoria nie mogła jednak żyć bez miłości? Czy życie bez miłości jest absurdem? Z drugiej zaś strony Giuliana stanowi zaprzeczenie Vittorii. Mąż, dom i dziecko wyznaczają jej świat. Mąż pochłonięty pracą, dziecko mądrzejsze od matki. Giuliana jest kimś niepotrzebnym, bezproduktywnym, nie ma dla niej miejsca. Ani mąż, ani Corrado jej nie rozumieją, w najlepszym razie gotowi jej ofiarować miłość fizyczną. Tragedia Giuliany jest tragedią kobiety, którą anachroniczna obyczajowość zepchnęła na margines czynnego życia i która w nowym układzie stosunków społecznych nie potrafi znaleźć dla siebie miejsca.

Antonioni po raz pierwszy chyba, w dziejach włoskiej kinematografii postawił w sposób tak drastyczny i tak europejski, problem kobiecy we Włoszech. W rezultacie oziębłość uczuciowa bohaterki jego filmu, niemożność całkowitego spełnienia miłości, niemożność porozumienia się wynika z niedojrzałości uczuciowej Włochów — mężczyźni, wynika z pewnych układów obyczajowo-socjalnych, które określiły pozycję i funkcję kobiety w społeczeństwie.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MALARSTWO I TYLKO MALARSTWO

Cała niemal prasa francuska z entuzjazmem omawia twórczość Pierre Soulaiges'a. „Sa peinture n'est que peinture”. Jego malarstwo jest tylko

ny był z płócien impresjonistów. Mając lat czterdzieści Soulaiges najchętniej malował kontury drzew, czarne galezie, z których opadły liście. Człowiek urodzony w małych okolicach Aveyron na południu Fran-

się ów zaginiony manuskrypt. Istotnie w pustym pomieszczeniu, pod podłogą w budynku Biblioteki odnaleziono rękopis.

Z początku przypuszczało się, że manuskrypt został skradziony przez jakiegoś kolekcjonera-maniaka, gdyż tak słynna pamiątka po Mozarcie nie mogła być nikomu sprzedana. Ostatnio panuje opinia, że kradzieży dokonął jeden z pracowników Biblioteki, skłócony z administracją na tle zbyt niskiego, jak twierdził, wynagrodzenia. Pracownik ten, według tej hipotezy, czy też pod wpływem obaw, że sprawca kradzieży zostanie wykryty, czy też z jakichś innych powodów, zawiadomił policję o miejscu ukrycia rękopisu, który na szczęście nie uległ najmniejszemu uszkodzeniu.

Rekopis, tej najwspanialszej jak twierdzą znawcy, opery Mozarta, nabył od wdowy po kompozytorze wydawca Johann-Anton-André. W 1855 r. śpiewaczka Paulina Viardot kupiła rękopis „Don Juana” za cenę 180 funtów szterlingów. Przechowywała go pieczołowicie i była bardzo dumna z jego posiadania. Manuskrypt oglądali u niej m. in. Gounod, Liszt, Saint-Saëns, później Fauré i Rossini. Śpiewaczka przekazała wreszcie rękopis „Don Juana” bibliotece paryskiego Konserwatoriumu. Od 1964 r. manuskrypt zabezpieczono w klimatyzowanej kasie w nowym dziale muzycznym paryskiej Biblioteki Narodowej.

ZMARŁ TOTO

Słynny od trzydziestu lat włoski komik Toto (właściwie nazwisko Antonio de Curtis Gagliardi) zmarł w Rzymie na atak serca. Toto ukończył właśnie film nakręcony dla włoskiej telewizji.

Antonio de Curtis Gagliardi urodził się w Neapolu w arystokratycznej rodzinie. Rodzice pragnęli, aby ich syn poświęcił się karierze prawniczej. Ale młody Antonio rzucił w 1918 r. studia uniwersyteckie dla sceny.

Po dwudziestu trzech latach pracy na scenie i przed kamerą ma w swym dorobku setna rolę filmową. W marcu bieżącego roku zdobywa na grodzie „Złotego Globu” przyznawaną przez Stowarzyszenie prasy zagranicznej dla najlepszego aktora włoskiego.

SZTUKA AMERYKAŃSKA Z OKRESU PRZED KOLUMBEM

Sztuka amerykańska z okresu przed odkryciami Kolumba i oparowaniem zachodniej półkuli przez hiszpańskich konkwistadorów, staje się coraz bardziej popularna, coraz więcej i więcej budzi zainteresowanie historyków, współczesnych artystów i miłośników sztuki. Niedawno we Francji ukazała się obszerna praca pt. „L'Art de l'Amérique précolombienne”, której autorem jest G. H. S. Bushnell. Książka omawia rozwój i najprzeróżniejsze formy i przejawy wielkich cywilizacji Majów, Azteków i Inków, a także okresy przejściowe, mniej znane. Bogato ilustrowana, zawiera często dotąd niepublikowane fotografie zabytków i dzieł sztuki. Również treść książki Jean Babelona pt. „Mayas d'hier et d'aujourd'hui” (Majowie wczoraj i dziś) dotyczy zabytków archeologicznych na terenach zamieszkałych przez Majów, zawiera też historię ich sztuki, której przemożny wpływ, pomimo wielu zmian historycznych, daje się wyróżnić we współczesnym

derski malarz, rysownik i grafik. Ostatnio radzieccy znawcy dzieł sztuki dokonali ciekawego odkrycia, badając obraz Rembrandta „Danaja”, arcydzieło, które przeszło od stu lat jest w posiadaniu leningradzkiego Ermitażu. Na wspaniałym łożu o śnieżnobiałej pościeli, w

oryty w poszczególnych partiach płótna. Dopiero bardzo szczegółowe i dokładne badania przy pomocy aparatu rentgenowskiego i mikroskopu pozwoliły na rozwiązanie zagadki.

Okazało się, że słynny malarz nie raz, a dwa, malował Danaję na tym



aureoli złotego blasku — leży naga kobieta. Dalej w cieniu, na drugim planie, wśród kotar z ciężkiego materiału, widoczna jest postać starszego żącej. O obrazie tym wiele już pisano i poświęcono mu wiele badań. Mimo to ekspertom i znawcom nie udawało się dotąd odpowiedzieć na szereg pytań. Jak powstał obraz? Kto był modelem postaci Danae? Czym się tłumaczy niejednoznaczność sposobu malowania i ko-

samego płótnie. Przy czym pierwszy wariant obrazu oddziela długi okres czasu od drugiego, ostatecznego. Z początku pozwała do obrazu pierwsza żona Rembrandta, Saskia. Następnie malarz na warstwie tego obrazu namalował drugi, ale tym razem modelką była już druga żona, Henryka. Ustalono, że „Danaja” w pierwszym wariantcie powstała w roku 1636, w drugim zaś w roku 1645.

MAJAKOWSKI WE FRANCJI

W maju otwarta zostanie w Montreuil pod Paryżem wystawa poświęcona Majakovskiemu. Scenariusz został starannie i z pietyzmem przygotowany przez Elise Triolet, która dla uzyskania dokumentów i innych pamiątek po Majakovskim zwracała się do Związku Pisarzy Radziec-

kich i do Muzeum Majakovskiego w Moskwie.

Atrakcją wystawy będzie film, który nigdy nie był wyświetlany we Francji, a nakręcony został w roku 1918 na podstawie nowelki Edmondo de Amicisa pt. „Nauczycielka robotników”. W filmie tym jako aktor występuje sam Majakowski. Film trwa 50 minut i jest niemy. Muzykę do niego skomponował Jean Wiener.



malarstwie i rzeźbie meksykańskiej.

Fascynacja sztuką amerykańską z okresu przedkolumbijskiego sprawia, że współcześni artyści coraz chętniej korzystają z jej inspiracji. Do takich artystów należy Georges Arnulf, który opiera się w swej twórczości na motywach i wzorach sztuki przedkolumbijskiej. Dzieła Arnulfa nie są kopiowaniem eksponatów, ale twórczym wykorzystaniem elementów starej, ciekawej cywilizacji.

TAJEMNICE DANAI

Danaja (Danae) w mitologii greckiej była córką króla Argosu. Jej postać była natchnieniem wielu malarzy, m. in. malował ją Harmensz van Rijn Rembrandt (1606-1669) jeden z najwybitniejszych artystów w dziejach sztuki, helen-

exposition



la vie
illustrée
de

MAJAKOVSKI

poète russe
scénario d'Elisa Triolet
mis en images par Alexandre Chem

Z tygodnia na tydzień

Tydzień miniony stał całkowicie pod znakiem Reymonta. Nikt, kto obserwował wydarzenia kulturalne, nie będzie mógł temu zaprzeczyć. Oto na stulecie urodzin autora „Chłopów” Biblioteka im. L. Waryńskiego zorganizowała wystawę, poświęconą jednemu z najświetniejszych pisarzy polskich. Na wystawie, ładnie i przejrzyście urządzonej, możemy obejrzeć pierwsze wydanie „Ziemi obiecanej”, dawne i nowe edycje dzieł Reymonta, czasopisma, w których drukował on w odcinkach swoje utwory, monografie o jego życiu i twórczości oraz bogaty materiał ikonograficzny. Ze szczególnym zainteresowaniem wasz sprawozdawca oglądał zdjęcia filmowe z przedwojennej ekranizacji „Chłopów” i „Ziemi obiecanej”.

W sobotę czyli 6 maja, a więc dokładnie w przeddzień stuletniej rocznicy urodzin pisarza (Reymont, jak wiadomo urodził się 7 maja 1867 r. w Kobielach Wielkich na Ziemi Łódzkiej) w sali Rady Narodowej odbyła się uroczysta sesja inauguracyjna obchodu Reymontowskiego w Polsce. Na uroczystości, która zgromadziła dorosłych i młodzież, pisarzy, naukowców, działaczy i ludzi zainteresowanych, przybył minister kultury i sztuki, Lucjan Małycki, który patronuje Komitetowi Reymontowskiemu, a akademie otworzył przewodniczący Prezydium RN m. Łodzi — Edward Kaźmierczak. W imieniu łódzkiego środowiska literackiego przemawiał Marian Piechal. Ale prawdziwą ozdobą tej udanej akademii było wystąpienie prof. Kazimierza Wyki, który wnikliwie i z talentem mówił na temat miejsca Reymonta w literaturze polskiej. Kazimierz Wyka jest chyba jednym z ostatnich, co tak polonezowo wodzi. Inteligencja i swada, gruntowna znajomość przedmiotu i poczucie humoru — to przy mioty, które nieczęsto sprzymierzają się w jednym człowieku, w dodatku w ułożonym profesorem. Słuchaliśmy Kazimierza Wyki z prawdziwym zadowoleniem, a także z przymieszką melancholii, że coraz rzadziej mamy do czynienia z takimi wypowiedziami.

Wieczorem tegoż dnia na scenie Teatru Wielkiego nasi artyści recytowali wybrane fragmenty utworów Reymonta, a znany zespół ludowy z Lipic Reymontowskich przedstawił barwne „Wesele Boryny”. Był jeszcze wyświetlony film, bardzo ciekawy, o fabrykanckich palacach „Ziemi obiecanej”. Jednym i drugim tekstem Reymonta podawał sam Kazimierz Rudzki.

Jeżeli sądzicie, że to już wszystko, co w ubiegłym tygodniu nasze miało do ku czci Reymonta uczynić, to się grubo mylicie. Ukazał się bowiem pękaty numer nowej „Osnowy”, w części również poświęcony Reymontowi, o którym pisał: Marian Piechal, Anna Rynkowska, Tadeusz Papier i Tadeusz Szewera. Tak więc Łódź dobrze wystartowała w Roku Reymontowskim, co świadczy zarówno o datnio o jej gospodarzach jak i o miejscowym środowisku kulturalnym. Wasz sprawozdawca wszędzie był, wszystko widział na własne oczy, słyszał na własne uszy. „Osnowę” przeczytał i wam do wierzzenia podaje. A teraz zobaczcie uszanowanie i do zboczenia za tydzień. Oczywiście na tych łamach.

KAJETAN

str. 9



malarstwem — pisze paryski dziennik „Le Figaro” omawiając retrospektywną wystawę Pierre Soulaiges'a w Muzeum Narodowym Sztuki Nowoczesnej w Paryżu. A poważny tygodnik, poświęcony zagadnieniom sztuki i literatury, „Les Lettres Françaises” niemal identycznie określa sztukę artysty, zaznaczając przy tym, że nie sposób jest wyrazić w słowach wrażenie, jakie odbiera się przy oglądaniu obrazów Soulaiges'a.

Pierre Soulaiges liczy czterdzieści siedem lat i jest najmłodszym malarzem, który został wyróżniony taką wystawą w Muzeum Narodowym Sztuki Nowoczesnej. Pięćdziesiąt najbardziej znanych muzeów na świecie nabywa od niego płótna. Dużym uznaniem cieszy się malarz w Ameryce. Soulaiges ma luźne szerokie czarne pasma układające się w platanie niezwykłych kompozycji, tworzy to — jak się nieco poetycznie wyraził jeden z recenzentów — architekturę rytmów, których piękno dostępuje się zwłaszcza w obrazach o dużym formacie. Soulaiges z mistrzostwem posługuje się czernią kontrastującą z białym tłem, i jak to określił inny z recenzentów, Soulaiges przywrócił wagę czernemu kolorowi w malarstwie, który, jak wiadomo, wygna-

ci nie czerpie natchnienia z piękna natury. Jego malarstwo nie ma nic wspólnego z krajobrazami dzieciństwa czy barwami i kształtami przyrody. Sztuka Soulaiges'a odnosi się raczej do wytworów człowieka i z nich czerpie on swe wzory, jeśli można tu mówić o wzorach. Ale oglądając obrazy Soulaiges'a przychodzi nam na myśl dzieła, jakie człowiek stworzył, miasta, fabryki, lotniska i porty, maszyny i środki lokomo-

Sztuka ta, jak pisze „Les Lettres Françaises” stanowi wyraz wysokiego stopnia cywilizacji, nawet industrializacji. W roku 1947 malarstwo Soulaiges'a uchodziło jeszcze za nowatorskie, dziś, po zdobyciu sukcesach jest już malarstwem klasycznym. W roku 1965 jedno z jego płócien zostało sprzedane za cenę 45.000 franków.

ODNALEZIENIE REKOPISU „DON JUANA” MOZARTA

W dniu 18 stycznia stwierdzono, że w Biblioteki Narodowej w Paryżu zginęła druga część rękopisu Mozarta, opery „Don Juan”. W dwa miesiące potem komisarz państwowej policji otrzymał telefoniczną wiadomość. Anonimowy informator wskazał dokładnie miejsce, gdzie znajdować miał

tajemniczym szepcie — Piszę powieść-gigant, rzecz na miarę Musil'a. Chcę kupić samochód? Nie, skądże, chcę tylko wyleżeć z długów, w jakie wlaże od czasu, kiedy zabrałem się do pisania tej powieści.

Nasza umowa autorska — mówił mi kiedyś pewien warszawski bywalec — jest rentowny bywalec — premieju pracowitości. Hm... istotnie: I. J. Krąszewski zarobiłby w naszych czasach na Wartburgu, mieszkając współdzielnie i zostaloby mu jeszcze na wakacje nad Bałatonem. Ale Hemingwaya jego „Stary człowiek i morze” zaprowadziły — gdyby pisał w Polsce — na próg Opieki Społecznej. A Dürrenmatt ze swymi mikropowieściami — żyłby z zasiłków Zarządu Głównego ZLP.

Rzecz ma się równie kiepsko z nakładami: nasze podstawowe nakłady — 20.000 egzemplarzy; ale np. Wydawnictwo Łódzkie — z braku papieru — coraz częściej wydaje książki o nakładzie podstawowym 7.000, 5.000, a nawet 3.000 egzemplarzy.

Jedyny uprzywilejowany — i to w jakiej skali! — gatunek powieści, to mowa o tym, że smirna kryminałka. Tu podstawowe nakłady idą w setki tysięcy egzemplarzy. Przykłądy?

Proszę bardzo: „Śmierć chodząca do szkoły” Quentiana — nakład podstawowy ponad 200.000 egzemplarzy. Albo „Aksamitne pazurki” Gardnera — nakład podstawowy około 100.000 egzemplarzy. (Mam na myśli, oczywiście, nakłady kryminałów drukowanych w pismach codziennych: one kształtują nawyki, gusty, zapotrzebowanie czytelników. Oto jeszcze jeden kaktus z ogrodu botanicznego, w jaki przekształcała się nasza polityka kulturalna. Co stwierdziwszy, niżeli podpisany zaczyna się rozrządzać za jakimś Hitchcockiem dla „Ogłoszeń”.

Jeśli już mowa o naszej łódzkiej prasie codziennej, zauważyłem, że od niedawna „Ogłoszy” są wziankowane w przeglądzie prasy „Głos Robotniczy”. Więc nas wreszcie zauważył! Bardzo jesteśmy radzi i wdzięczni wrożyemu sobie z tego faktu wiele pomysłowości. To poważna zmiana na lepsze! Bowiem przez 10 lat istnienia „Ogłoszeń”, sasiadzi z prasy codziennej ignorowali nasze istnienie z uporem godnym lepszej sprawy. Jakże by tego przyczyną? Uważam, że odpowiedź na to pytanie mogłoby dać tylko biegły psychoanalityk. Czy ha, że uznamy za odpowiedź znane przysłowie

„Nikt nie jest prorokiem w swej ojczyźnie”.

★

Ano — co prawda, to prawda: nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. Nawet — Wacław Kondek. Gazety warszawskie doniosły, że „jedyny film uzasadniający obecność polskiej flagi nad placem festiwalowym w Cannes — „Larghetto” Wacława Kondka — został przyjeździe bardzo żywcem ciepłymi oklaskami”.

Łódź to miasto (ponoć) filmowe: lecz któż w Łódzi widział wszystkie filmy Kondka? A każdy z nich był uznany za wybitny. Może by więc tak uznać ich pokaz, chociażby w gościnnych progach Nowego Muzeum Sztuki Nowoczesnej?

Inna sprawa, że z Kondkiem to kłopotliwa historia. Bo cóż to za współczesny artysta, który uważa, że można się obejść bez głośnej reklamy, bez stosunków z „osobistościami”, bez możnych protektorów, bez rozpytywania szumu i krzyku wokół swojej twórczości. Że niby twórczość mówi sama za siebie? I to ma być dewiza współczesnego artysty? Co za naiwność!

★
Warto pójść po południu na spacer pod Hale Sport-

ową choćby po to, by ujrzeć ten tłum autokarów z całego kraju, te ciężkie głodnych rozrywki raków! Gwałtu, co się dzieje? Ano nie — na taflę lodowej produkcji się zespół Holiday on Ice.

Nie mam nic przeciw jeździe figurowej na lodzie i cieszę się szczerze z frekwencji każdej imprezy: zawsześ lepiej gapić się na hopsy i piruety, niż z nudów rozrabiać dla ubawu. Ale mimo tak ożywistych sympatii zastanawia mnie niezmiennie dewiza „panem et circenses”, która dziś przyjeżdża za wytyczne organizatorzy naszego życia kulturalnego, aż nazbyt często zasnajający się przed innymi inicjatywami frazesem „Nie ma pieniędzy: przecież kultura jest deficytowa”.

Osobliście za najważniejsze wydarzenie ostatnich miesięcy w życiu kulturalnym naszej stolicy uważam — baczki Grzegorza Lasoty zaprezentowane nam w ostatnich Pegazach. Hej, iza się kłeci, jakąż to daleka droga przeszliśmy w minionym 20-leciu. Nie tak dawno pan Lasota czekał się pod Szolchową, a dziś — już pod Johna Holidaya. Te baczki — nie wiem jak dla Państwa — ale dla mnie: bomba!

WACŁAW BILIŃSKI

Notatki na MARGINESIE

Chwale — bo przyjemnie zacząć od pochwał — telewizji za audycje rozrywkowe (w którym to rodzaju, co prawda, nie gustuję) pt. Rewia Polskich Nagrań. Nazwę „telewizja” traktuję poważnie i najwięcej znaczenia przypisuję stronie wizualnej tego co mi pokazuje na szklanym ekranie. A tym razem właśnie pomysł scenograficzny był najciekawszy i te czarno-białe obrazy, niemal już z pogranicza grafiki, pochlebnie świadczyły o wyobraźni realizatorów. Natomiast śpiewaczy — są me tzw. „bożyszczą” — wydali mi się bardzo zróżnicowani: od Miynarskiego, który jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju — w dół, aż po zwykłą (ale sławną i — co się zowie — głośną) miernotę. Audycja była również przychylnie do zagad-

Kopciuszek prowadzi do Nepalu



Fot. M. Petruszka

Juta? A co się z tego robi — zapytałam. Być może moja ignorancja w tej dziedzinie przewyższa przeciętną niewiedzę społeczną, ale założę się, że tak naprawdę mało kto wie na temat juty coś bliższego.

Zacząłem się zaś od rozmowy z panem MIŁOSŁAWEM PETRUSZKĄ, rzeczoznawcą włókien litych w „Textilimporcie”, pracującym tu od 1949 r. Specjalistyczne studia w Szwajcarii i Anglii oraz wieloletnia praktyka sprawiły, że p. Petruszka jest jednym z najwyższej cenionych znawców juty w świecie, a w poszukiwaniu tego surowca dla naszego kraju przewędrował Azję od Tien-sinu po Karaczi i od Pekinu po Capcomorin. Był m. in. w Chinach, Wietnamie, Syjamie, Burmie, Indii i Pakistanie. Prywatnie, z zamiłowaniem nasz rozmówca jest fotografikiem i teleobiektyw towarzyszy mu we wszystkich podróżach, bynajmniej nie próżnując.

Ale wróćmy do juty. Jest kopciuskiem surowców włókienniczych, ale kopciuskiem bardzo ważnym. Przez wiele lat była drugim surowcem włókienniczym w pozycji światowej, dziś walczy z włóknami syntetycznymi. Obrót światowy juta wynosi około 3 milionów ton. Kopciuskiem jest może dlatego że robi się z niej głównie worki, a ważnym dlatego, że bez opakowań jutowych nie do pomysłenia jest eksport, szczególnie produktów rolnych ale również wielu innych. Jest rośliną strefy tropikalnej, głównie monsunowej, jej ojczyzna jest w Azji. Azjatyckie podróże mojego rozmówcy są wędrowkami w poszukiwaniu juty. Głównym naszym dostawcą jest Pakistan, ale nie tylko.

Także na przykład Nepal. Właśnie juta odkryła ten kraj dla naszego handlu. Stosunki handlowe z Nepalem nawiązałyśmy w 1962 r. i pierwsze kontrakty umożliwiły wejście towarami polskim na rynek nepalski. Niewielki to kraj (9 i pół miliona mieszkańców) bez żadnego prawie przemysłu, o słabo rozwiniętej gospodarce rolnej, a więc rynek chłonny zarówno dla towarów jak i urządzeń przemysłowych. Od lutego br. działa w Katmandu — stolicy Nepalu nasz stały przedstawiciel handlowy. Na razie głównym naszym artykułem eksportowym jest blacha falista, z innymi starami się dopiero wchodzić na tamtejszy rynek.

Człowieki który po raz pierwszy przybywa do Nepalu wydaje się, że znalazł się w dekoracji zbudowanej do jakiegoś baśniowego filmu. Dotyczy to nawet Katmandu. Wązłutkie

uliczki, piękne stare domki — arcydzieła sztuki zdobniczej, całe rzeźbione. Narody górskie mają głęboko rozwinięty zmysł artystyczny, wyrażający się w zdolnościach plastycznych. Niewarownie budujący domy głównie z cegły i drzewa rzeźbili ich części drewniane: pokryte rzeźbami są ganki i podpierające je kolumny kraty, umieszczone w oknach zamiast szyb, są istnym koronkowym arcydziełem, rzeźbione są wnętrza domów, meble, naczynia, przedmioty kultury religijnej, ozdoby, sprzęt gospodarski. Ale — inter arma silent musae. Gdy przed 200 laty zjednoczono księstwa i do władzy doszło wojsko, kwitnaca pod panowaniem książąt sztuka zaczęła zamierać. To wszystko prawie, co dziś można zo-

baczyć, pochodzi co najmniej sprzed 200 lat. I mimo, że wykonane jest w drzewie sal — krewniaku najtwardszego drzewa — teaku mocnego jak żelazo, zaczyna niszczyć. Poza tym stare domy wyburzane są dla poszerzenia wazutkich ulic. Zabytki nie są objęte żadną ochroną. Korzystają z tego cudzoziemscy turyści, których coraz częściej zaczyna tu ścigać cudowny klimat i egzotyka kraju.

Aby zrozumieć to, co zastaje się w Nepalu, trzeba znać choćby pokrótce jego historię. Przed 200 laty kraj, składający się z kilku księstw, został zjednoczony przez księcia Gurkhow Narajana. W sto lat później rodzina dziedziczna premierów Rana dokonała przewrotu pałacowego. Premierzy przejęli władzę, królowie

stał się ich niewolnikami. W 1950 r. ówczesny król Tribhuwan wraz z synem zdołał zbiec do ambasady indyjskiej w Katmandu, a następnie wyjechał do Indii skąd kierował powstaniem, które ostatecznie przywróciło jego władzę. Król wrócił do kraju, ogłosił Nepal monarchią konstytucyjną. Po jego śmierci rządy objął następca tronu Mahendra.

Do 1950 r. Nepal był odizolowany od reszty świata, a jego granice zamknięte dla przybyszów ze Wschodu i Zachodu. Sprawilo to, że kraj zatrzymał się w rozwoju, w niektórych częściach pozostały zwyczaje średniowieczne i stosunki feudalne. Izolacja ta wpłynęła też na powstanie swoistego typu kultury i obyczajowości.

W niektórych dolinach górskich utrzymuje się do dziś, prawie niespotykana w świecie poliandria — małżeństwo jednej kobiety z kilkoma mężczyznami. Przeważnie jedną żonę biorą sobie bracia. Zwyczaj ten podyktowany jest prawdopodobnie specyfiką życia na tych terenach. Głównym środkiem utrzymania jest handel wymienny solą i ryżem. Brak środków komunikacji sprawia, że mężczyzna wyruszający w drogę przebywa poza domem kilka miesięcy. Z kobietą pozostaje jej drugi mąż. Problem ojcostwa w tych warunkach zupełnie nie istnieje.

Brak środków komunikacji. Mówi się o Nepalu, że to kraj, który z łapci przesiadł się na samolot. Ale w wielu rejonach łapcie są nadal aktualne a podstawowym środkiem komunikacji są własne nogi. Głębokie jary rzeczne utrudniają budowę mostów. Często jedyny most przez rzeczkę (często na wysokości 1000 metrów nad nia) stanowiły trzy liny: jedna do przechodzenia, a dwie jako poręcz. Takiej drogi nie przebrnęłoby żadne zwierze.

Nepalczyki są narodem pogodnym, wesołym, lubiącym śpiew i taniec, są niezwykle uczciwi i wierni. Przewodnik Sherpa nigdy nie opuści swego klienta, nawet w najtrudniejszych warunkach, żołnierz Gurkhi nigdy nie zdradzi swego dowódcy. Najemni żołnierze z Nepalu, którymi Anglicy posługiwali się w niejednej wojnie, byli postrachem przeciwnika. Odważni, wytrwali, nie znający zmęczenia, władali dodatkowo im tylko właściciwa bronią: nożem kukri. Płasko noszony na brzuchu kukri jest przedmiotem z którym nie rozstają się przez całe życie. Jest bronią przeciw wszystkim niebezpieczeństwom, jest narzędziem domowym i ryblem artysty rzeźbiącego w drzewie. Władają nim z niedostępną precyzją z bliska i rzucając na odległość.

Tradycje batalistyczne są dumą Nepalczyków. Jedynym muzeum istnieje jace w Katmandu jest olbrzymim arsenałem broni, od galerii różnych rodzajów i rozmiarów kukri po armaty odlewane z brązu (Nepalczyki są świetnymi ludwisarzami), czy inne, o lufach ze skóry.

Powrót króla Tribhuwana do władzy otworzył okna kraju na świat. Jego syn i następca Mahandra jest chyba najbardziej demokratycznym królem na świecie. Można zarzykować twierdzenie, że poddawuje król na której siedzi. W niektórych poczynaniach wręcz rewolucyjny, reforme rolne rozpoczął od podziału swoich majątków. Prowadzacz zewnętrzna polityka niezaangażowania król korzysta z pomocy Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Chin i Indii, by zlikwidować w swym kraju zacofanie, analfabetyzm, podnieść rozwój ekonomiczny i kulturalny kraju.

Notowała:
TERESA WOJCIECHOWSKA



Lewym okiem

POGLĄD NA WYTYCZNE

Tybet jest chyba jednym z najmniej znanych krajów na świecie. Wiadomo jednak z relacji nie-licznych podróżników, że — przynajmniej do niedawna — prawie jedną trzecią ludności stanowili tam lamowie, czyli osoby duchowne, zajmujące się głównie — jeśli nie wyłącznie — sprawami nie z tego świata. Oddawali cześć wielkim, nieznanym mocom, składali im niezliczone ofiary, budowali świątynie i ołtarze, organizowali nieustające ceremonie i uroczystości. Oczywiście — na ofiarę i na budulec do świątyni i ołtarzy szły dobra jak najbardziej z tego, niedoskonałego świata, wypracowane w pocie czoła przez zwykłych, świeckich mieszkańców.

Uciążliwa proporcja: dwóch ludzi pracujących nie tylko na siebie i na tego trzeciego, ale jeszcze obciążonych ogromnym serwitutem działań nieefektywnych, z punktu widzenia ekonomicznego — daremnych i bezsensownych.

Daleko od nas do Tybetu. Nie mamy lamów. A przecież widać co dzień dookoła tysiące działań, podejmowanych jak gdyby dla zaspokojenia tajemniczych bóstw, działań magicznych, nie korespondujących z prawdziwym życiem, włączanych z trudem w wielki pośpieszny kołowrót zajęć niezbędnych, produktywnych, wymiernych. Niemalże grupy ludności żyją z takich działań. Posługują się one specjalnym językiem liturgicz-

nym, zaciemniającym co się da, niewiele znaczącym. Język ten rzadko dane jest usłyszeć szerokiej publiczności, bo kryje się w powodzi broszur, referatów, opracowań, których nikt nigdy nie czyta i ma rację. Nie po to są napisane.

Było nie było, sięgnijmy po pierwszy z brzegu zapisany kawał papieru tego typu. Mowa w nim o gospodarce materiałowej. Ze trzeba zbadać naukowo rządzące ją gospodarkę regularności, a więc najpierw — ustalić program takich badań. I zaczyna się: „Punktem wyjścia dla przygotowania programu ma być analiza stanu potrzeb w zakresie naukowego opracowania problematyki gospodarki materiałowej, a źródłem tej analizy mają być wypowiedzi: ministerstw, a także wybranych zjednoczeń, przedsiębiorstw przemysłowych, jednostek obrotu oraz zaproszonych osób, prowadzących działalność teoretyczną lub praktyczną w zakresie problematyki gospodarki materiałowej”.

Po odrzuceniu dętych słów zdanie powyższe oznacza, że jak się chce opracować program badań naukowych, to trzeba wiedzieć po co („analiza stanu potrzeb”), a żeby wiedzieć — najlepiej zapytać tych, co wiedzą („źródłem analizy — wypowiedzi osób, prowadzących działalność teoretyczną lub praktyczną — czyli po prostu wszystkich rozsądnych ludzi). Oczywiście. Ale ta oczywistość, sformułowana jak wyżej, nazywa się: „Inicjatywa Instytutu...” (mniej więcej o to, jakiego) oraz Uchwała Rady... (nie ważne, której). Samo takie sformułowanie bywa racją istnienia całych instytucji przez całe miesiące!

Czytamy dalej: „Przystępując do realizacji... przesyła się kwestionariusz” pod tytułem: „Wstępne założenia opracowania projektu programu prac naukowo-badawczych w dziedzinie gospodarki materiałowej w sferze produkcji i obrotu”. Uważajcie dobrze: nie chodzi jeszcze o gospodarkę, tylko o prace o gospodarce. A nawet nie o te prace, tylko o program prac. A nawet nie o program

tylko o projekt programu. A właściwie to nie o projekt, tylko o opracowanie projektu. A nawet nie o opracowanie, tylko o założenia do opracowania. Oczywiście — wstępne założenia, do dokładnych jeszcze daleko.

Dziesiątki ludzi zorganizowanych w specjalne instytucje wymyślić takie kwestionariusze (mimo całej myślawicowości — podzielone na multum punktów, z których co jeden to bardziej uniwersalny), tysiące malutkich urzędników następnie je wypełnia, łączy, sumuje, opiniuje, robi się to przez dwa — trzy lata, aż wreszcie usiądzie ktoś z placą dwóch tysięcy miesięcznie i wymyśli program prac badawczych w zakresie gospodarki materiałowej w ciągu trzech dni, z czego za jeden obetną mu premię, bo miał termin dwóch dni.

Siedem instytutów rozprawia o roku (przykład zmyślony!) o uśpionych wytycznych do założen do projektu przyczynków do postulatów tymczasowych rozwiązań generalnych do orientacyjnej analizy transportu. Pracownicy stu instytucji, zaorani swoją prawdziwą robotą, świadczą na rzecz lamów kilogramami papieru i tygodniami, przesiadkami na jałowych konferencjach. Odprawiają się tybetańskie nabożeństwa, a naprawdę to analizę transportu kombinuje sobie na co dzień jak umie skromny uczelniany z biurkiem, od którego żąda się odpowiedzi na mnóstwo pytań, o jakich lamowie pomyślał może na siódmym etapie swych prac. Cóż takiemu czelężnie za pociecha, że wręcz mu „Wytyczne i wskazówki dla zakładów pracy w sprawie stosowania niektórych wybranych form informacji ogólnodostępnej i słuchowej w zakresie upowszechniania osiągnięć techniki”, z których to wytycznych dowie się, że książkę należy czytać, a film — oglądać (autentyczne, podajemy za „Życiem Gospodarczym”)? Żadne pociechy. Tylko westchnąć i — żeby nie budzić licha — znośić dalej. Om mani padme hum, jak powiadają Tybetańczycy.

WIEK